

ISSN 0209-0120 INDEKS 35462

CHRZEŚCIJANIN

nr 01-02 (624-625) styczeń-luty 2004

www.chn.kz.pl



Wierzmy, że Pismo Święte – Biblia – jest Słowem Bożym, nieomylnym i natchnionym przez Ducha Świętego, i stanowi jedyną normę wiary i życia.

Wierzmy w Boga w Trójcy Świętej jedynego, w osobach Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Wierzmy w Synostwo Boże Jezusa Chrystusa, poczętego z Ducha Świętego, narodzonego z Marii Dziewicy; w Jego śmierć na krzyżu za grzech świata i Jego zmartwychwstanie w ciebie; w Jego wniebowstąpienie i powtórne przyjście w chwale.

Wierzmy w pojednanie z Bogiem przez opamiętanie i wiarę w ewangelię, w chrzest i Wieczną Pańską.

Wierzmy w chrzest Duchem Świętym, przeżywanie pełni Ducha i Jego darów.

Wierzmy w jeden Kościół, święty, powszechny i apostołski.

Wierzmy w uzdrowienie chorych jako znak łaski i mocy Bożej.

Wierzmy w zmartwychwstanie i życie wieczne.

Miesięcznik „Chrześcijanin” jest organem prasowym Kościoła Zielonoświątkowego w Polsce

Wydawca: ARKA Wydawnictwo i Poligrafia, ul. Bóznicza 5, 43-400 Cieszyń

Redakcja: Monika Kwiecień – redaktor naczelna, Edward Czajko, Krzysztof Matyszewski – redaktor, U. Voss – art & pre press, Mariusz Jańczak – webmaster

Adres Redakcji:

ul. Sienna 68/70, 00-825 Warszawa,
tel. i faks (22) 620 02 65; e-mail: chn@kz.pl;
WEBSITE: <http://www.chn.kz.pl>

Konto: Miesięcznik „Chrześcijanin”,
BZ WBK, 10 O/Warszawa,
nr 49 1090 2574 0000 0006 4400 8327

Prenumerata 2004: krajowa

roczna – 42 zł; półroczna – 21 zł;
cena pojedynczego numeru – 7 zł;

zagraniczna:

Czechy – 12 USD; Europa Zach. – 20 Euro;
Ameryka Płn. – 25 USD;
Ameryka Płd. i Australia – 32 USD.

Redakcja nie odsyła materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów oraz nie odpowiada za treść reklam i ogłoszeń.

Test na Nowy Rok

Odpowiedzmy sobie szczerze: jak to z nami jest? Czy kiedy patrzymy na szklanę do połowy wypełnioną płynem – cieszymy się, że w połowie jest pełna, czy martwimy, że do połowy opróżniona? Ktoś powie, że wszystko zależy od... zawartości. Cóż, to by było zbyt proste. Ten test nie sprawdza umiejętności logicznego myślenia. Nasza odpowiedź odzwierciedla co innego: postawę, oczekiwania, nasze podejście do życia, a przede wszystkim do wyzwań, jakie ono przed nami stawia.

Służę przykładem. Pewna europejska firma obuwnicza z dużymi tradycjami wysłała do Afryki dwóch swoich przedstawicieli. Mieli zbadać potencjalny tamtejszy rynek.

Pierwszy agent już nazajutrz wysłał telegram do centrali:

– Tu wszyscy chodzą boso. Szanse na zbyt zerowe. Wracam pierwszym samolotem.

Drugi zatelegrafował:

– Nie do wiary: tu nikt nie nosi butów!!! Kolosalny rynek! Możliwości wprost nieograniczone!

Nie przypadkiem Jezus Chrystus mówi, że Bóg lubi „gwałtowników”, a więc ludzi z charakterem, którzy szturmują wszelkie bramy i mury, i nie dają się odesłać z kwitkiem. Takich, którzy nie chcą także poddać się rozpaczce, jeśli dotknie ich nieszczęście albo gdy staną się świadkami takiego ciosu. Żydowski mędrzec XX wieku, Abraham Joshua Heschel, uważał, że „tajemnicą mądrości jest to, by nigdy nie zatracić się w chwilowym nastroju czy namiętności, nigdy nie porzucić przyjaźni z powodu chwilowej krzywdy”. Tajemnicę tę znają ci, którzy obcując z Bogiem, posiadli mądre serce (zob. Ps 90). Nikt się z tą cenną właściwością nie rodzi i nie ma innej rady, jak się tego uczyć. Nauka niekoniecznie przychodzi łatwo.

„Albowiem ja wiem, jakie myśli mam o was – mówi Pan – myśli o pokoju, a nie o niedoli, aby zgotować wam przyszłość i natchnąć nadzieję” (Jr 29,11). Ach, jak my lubimy takie piękne zdania, jak ochoczo wołamy wtedy „Amen”. Chętnie zapamiętujemy te kojące „złote wersety”, ale przypomina to trochę wyjadanie słodkich rodzynek z ciasta.

Przytoczone słowo pada tymczasem w kontekście nieuchronnej tragedii: zagłady ludzi i całego dorobku, ruiny kraju i Świątyni. Dziwny tekst, jak to w Biblii. W istocie – na przekór wszystkiemu – głosi ocalenie, nadzieję, całkiem nowy początek. We wszystkim, co was spotyka – mówi Pan – nie ma niczego, co nie pochodziłoby z ręki miłującego Boga. Boga, który powziął wobec nas pewien plan. Plan tak dobry i tak dalekosiężny, że najbardziej uparta głupota ludzka i absurdałne działanie na własną szkodę nie zdołają go zniweczyć. „Albowiem ja wiem, jakie myśli mam o was – mówi Pan – myśli o pokoju, a nie o niedoli, aby zgotować wam przyszłość i natchnąć nadzieję”. Ludzie ponoszą wprawdzie skutki swych wyborów (przy czym niektórzy muszą bez własnej winy dzielić los całej wspólnoty), ale nawet te bolesne konsekwencje – choć niezamierzone przez Boga – stają się narzędziem w Jego ręku, służącym ku dobremu.

Na czym polega torowanie zamyślanej przez Boga przyszłości? Wbrew temu, czego byśmy skrycie pragnęli, nie ma ona zostać doręczona prosto z niebios jako pakiet gotowy do użytku. Trzeba zakasać rękawy i brać się do roboty!

Bóg polecił: budujcie domy, zakładajcie ogrody (Jr 29,4-14). Jedno i drugie jest obliczone na długie lata; koczownicy i pielgrzymi takimi sprawami się nie zajmują. Cały ten wysiłek trzeba ponosić na obczyźnie, w ziemi niewoli. Zakładać rodziny, wychowywać i kształcić dzieci. Zdobywać wiedzę i umiejętności, prowadzić interesy, budować swoją pozycję – to znaczy zapracować na dobre imię. Współtworzyć dobrobyt kraju. Postępować, innymi słowy, jak świadomi obywatele. Jak ludzie wolni.

Czy warto budować solidne domy i trudzić się przy pielęgnowaniu ogrodów, by cieszyły się nimi raptem dwa pokolenia, skoro niewola miała trwać 70 lat? Widać tymczasowość nie oznacza prowizorki, bylejałości. Kluczem była dla nich świadomość Przymierza i powołania, perspektywa powrotu z Babilonu do Ziemi Obiecanej – do ojczyzny. Także nasze życie jest nam dane przez Boga jako zadanie do spełnienia tu, na ziemi, „Nasza zaś ojczyzna jest w niebie, skąd też Zbawiciela oczekujemy, Pana Jezusa Chrystusa” (Flp 3,20).

Trzeba wiedzieć, czego się pragnie, by móc spełniać swoje pragnienia. Trzeba mieć marzenia, aby je realizować.

Monika Kwiecień

Spis treści

s.2 OD REDAKCJI

Monika Kwiecień

Test na Nowy Rok

s.4 KAZANIE

Alina Kozłowska

Kochać to znaczy powstawać

s.6 DUCHOWE DARY ŁASKI

Edward Czajko

Taniec z Aniołami

s.8

Ewa Urbaniak

„Myśli nieuczesane” o modlitwie

s.9

Anna Kotarska

Głodu naszego powszedniego...

s.10 U SĄSIADÓW

Piotr Karaś

Z wizytą w norweskim Centrum Ewangelii

s.14 i s.15 KTO JEST KIM?

Prezb. Kazimierz Sosulski

Prezb. Ryszard Wołkiewicz

s.16 REPORTAŻ

Julita Rachwańska

Coś z niczego

s.19 BIBLIA I MY

Czesław Budziniak

List do znużonych świętym życiem

s.20 ŚWIADECTWO

Urszula Borsuk

Uratowana

s.22 PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

Krysia Chojnowska

Jeśli trzeba, używaj słów

EO-06/148/3

3.02

42.00

CG7156
745611 III

■ Dzieci
z klubu
środowiskowego
w Żorach

fol. Kamil
Kuczawski

NASZA OKŁADKA

CHRZEŚCIJANIN

m. 02-22 (011-625) styczeń-dy. 2004

www.chn.kz.pl



s.23 NA FALI

Anna Bajak

Vision

s.24 i s.25 ODESZLI DO PANA

Pastorowa Eugenia Rapanowicz

Brat Marek Gizicki

s.25

Ogień Ducha Świętego w Kościele

s.26 i s.27 EWANGELIZACJA

Marcin Urbański

Bóg Cię szuka

Wiejskie Ewangelizacje Dzieci

s.28 WIADOMOŚCI Z ŻYCIA KOŚCIOŁA

s.31 JUBILEUSZ

Bp Mieczysław Czajko

Złote gody w Koszalinie

s.32 PREZENTUJEMY

Dorota Sosulska

Sienna Gospel Choir

Kochać to znaczy powstawać...

**Można być
szczęśliwym
nawet wtedy,
kiedy w życiu
coś dzieje się
nie tak, jak byśmy
chcieli. I nie chodzi
tu o sztuczną,
udawaną radość
mimo bólu. Źródłem
tego szczęścia jest
miłość i zaufanie
do Boga oraz
świadomość,
po co na tym
świecie żyjemy.**

„...zapominając o tym, co za mną, i zdążając do tego, co przede mną, zmierzam do celu, do nagrody w górze, do której zostałem powołany przez Boga w Chrystusie Jezusie”.
Flp 3,14

Kiedy Dawid – wspaniały król Izraela, człowiek „według Bożego serca” – pokutował za swój grzech cudzołóstwa i morderstwa (2 Sm 11), prorok Natan, jako karę za zbezczeszczenie Pana, zapowiedział śmierć jego malutkiego syna, zrodzonego ze związku z Batszebą. Dziecko zachorowało, lecz Dawid przez tydzień pościł i płakał przed Bogiem, błagając Go o miłosierdzie i „zmianę wyroku”. Nic nie jadł, nocą leżał na ziemi, nie dawał się pocieszyć (któż by się dał?). Wiedział także, iż poniesie fatalne konsekwencje swojego przestępstwa – nad jego potomstwem na długo już zaciążyć miało widmo tragicznych i bratobójczych walk.

Oto jednak, gdy dziecko zmarło, Dawid uczynił coś zaskakującego dla swego otoczenia – zakończył żałobę i post, namaścił się i poszedł do świątyni, by oddać Panu pokłon. Podjął trudną, ale nieodzowną decyzję – żyć dalej. A kiedy słudzy spywali go o powód tego dziwnego dla nich zachowania, odparł: „Dopóki dziecię żyło, pościłem i płakałem, gdyż myślałem sobie: Kto wie? Może Pan zlituje się nade mną i dziecię będzie żyło? Teraz zaś, gdy zmarło, po cóż mam pościć? Czy mogę je jeszcze przywrócić życiu? To ja pójdę za nim, a nie ono powróci do mnie” (2 Sm 12,22-23). Czytamy dalej, że to właśnie Dawid po tym wydarzeniu pocieszał Batszebę, która została jego żoną.

Historia ta jest bez wątpienia tragiczna, taka, jakie bywa nasze życie. Na szczęście nawet wtedy, gdy upadniemy i musimy ponieść ciężar konsekwencji i odpowiedzialności za swe błędy, Bóg nie odwraca się i wciąż obdarza nas swoją łaską. Batszeba urodziła wkrótce syna „umiłowanego przez Pana” – Salomona.

Kolejna frapująca mnie historia ukazuje postawę Pana Jezusa Chrystusa wobec cierpienia, ale cierpienia niezawinionego i niezrozumiałego. Tym razem tragedia nie miała nic wspólnego z grzechem. W więzieniu zginął w absurdalny sposób, za sprawą Herodiady, potężny Boży prorok – Jan Chrzciciel – nawołujący niegdyś Judeę do pokuty, ogłaszający rychłe przyjście Mesjasza (Mt 14). Fascynująca postać. Sam Jezus nazwał Jana Chrzciciela największym człowiekiem urodzonym do czasu proklamowania przez Chrystusa Królestwa Niebios. Kiedy Pan potwierdzał uczniom wagę posłannictwa i autorytetu proroka, ten, wtrącony do więzienia za swą służbę i niewygodne dla Heroda poglądy, zupełnie zwątpił w to, czy Jezus rzeczywiście jest oczekiwanym i zwiastowanym przezeń Mesjaszem!

Po śmierci Jana Chrzciciela uczniowie pogrzebali go i powiadomili Jezusa o nieszczęsnym końcu jego misji. „Gdy Jezus o tym usłyszał, oddalił się stamtąd w łodzi na miejsce puste, na osobność” (Mt 14,13). Pan głęboko przejął się tą wiadomością. On także doświadczał zwykłych ludzkich, a więc również przykrych, uczuć i czasem miał dość. Ponadto zagrażało Mu teraz niebezpieczeństwo – Herod sądził przecież, że Jezus to zamartwychwstały Jan Chrzciciel. Ta sytuacja, choć tak smutna, nie pognębiła jednak Pana. „A kiedy o tym usłyszał lud, poszedł za nim z miast piechotą. I wyszedłszy, ujrzał mnóstwo ludu i zlitował się nad nimi, i uzdrowił chorych spośród nich” (Mt 14,13b-14). Inni byli dla Niego ważniejsi od własnego bólu i poczucia straty – dokonał dla nich nowych cudów, nakarmił pięć tysięcy mężczyzn oraz ich rodziny. Służył dalej.

Teksty te skłaniają do przemyśleń na temat trudnych i niezrozumiałych doświadczeń, rozczarowań, pytań bez odpowiedzi i wydarzeń, które „nigdy nie powinny były się zdarzyć”, a na które często reagujemy buntem, wątpliwościami, smutkiem, strachem...

Zacznijmy od pytania, czym są problemy w życiu chrześcijanina. Jakiś czas temu rozmawiałam z pewnym chłopakiem, który wyznaje tak zwaną „teologię sukcesu”. Gdyby mu powie-

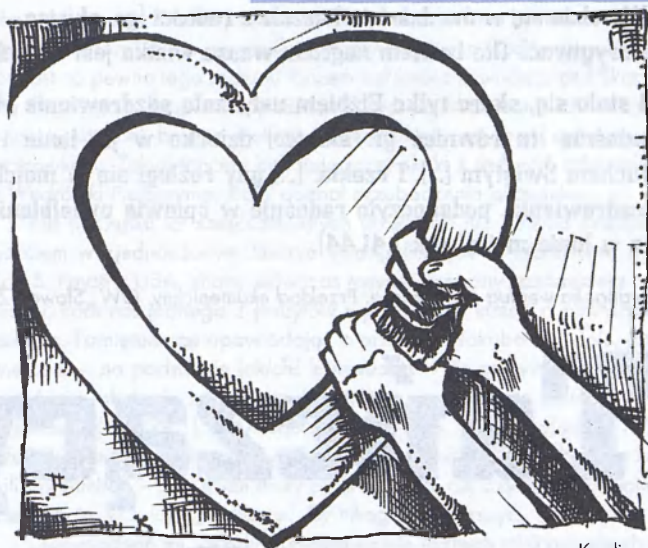
dzieć, że jest się chorym lub ma się jakieś problemy, odrzektby, że przyczyną tego jest brak wiary. Bóg przecież pragnie, aby Jego dzieci były zdrowe, bogate, żeby zawsze i we wszystkim powodziło im się jak najlepiej. Chłopak ten nie byłby w stanie zrozumieć, jak Bóg, który jest absolutną miłością i dobrem, mógłby dopuścić cierpienie w życiu swoich umiłowanych dzieci.

Kiedy później się nad tym zastanawiałam, postanowiłam sprawdzić, co na ten temat mówi Biblia. „Wy nie opieraliście się jeszcze aż do krwi w walce przeciw grzechowi i zapomnieliście o napomnieniu, które się zwraca do was jak do synów: Synu mój, nie lekceważ karania Pańskiego ani nie upadaj na duchu, gdy On cię doświadczają; bo kogo Pan miłuje, tego karze, i chłostuje każdego syna, którego przyjmuje. Jeśli znosicie karanie, to Bóg obchodzi się z wami jak z synami; bo gdzie jest syn, którego by ojciec nie karał? [...] Żadne karanie nie wydaje się chwilowo przyjemne, lecz bolesne, później jednak wydaje błogi owoc sprawiedliwości tym, którzy przez nie zostali wyćwiczeni” (Hbr 12,4-11). Jak widać, Bóg, wychowując swoje dzieci, zsyła na nie różne doświadczenia, a wszystko to czyni dla ich dobra. Wiemy jednak, że tego typu sytuacje nie są łatwe do przejścia i zniesienia.

Obydwie przytoczone tu historie pokazują pewne postawy, jakie człowiek przyjmuje, kiedy spotyka go trudności i cierpienia. Możemy w takich chwilach poddać się, zrezygnować, popaść w smutek lub bunt. Możemy też jednak zwrócić swoją uwagę na to, co do nas należy i do czego, jako chrześcijanie, mamy dążyć.

Kiedyś w pewnym zborze miałam możliwość odwiedzenia mężczyzny, który chorował na stwardnienie rozsiane. Miał około 40 lat. Siedział na wózku i nie mógł się poruszać. Jedynie jego ręce jeszcze funkcjonowały, choć coraz słabiej. Przeształ też już widzieć i mówił niezrozumiale. To straszna choroba, bo człowiek jest świadomy wszystkiego, co się z nim dzieje, wszystko rozumie, jest w pełni władz umysłowych, ale jego ciało stopniowo odmawia posłuszeństwa. Po jakimś czasie nie można się ruszać, mówić, czytać... Mężczyzna ten powiedział mi jednak, że kocha Boga i ufa Mu całkowicie. Stwierdził, że jeśli Bóg go uzdrowi, będzie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, ale jeśli tego nie uczyni, i wtedy będzie oddawał Mu chwałę. Przez cały czas, jaki spędziłam w jego domu, opowiadał o dobroci i miłości Bożej.

Przykład ten pokazał mi, że można być szczęśliwym nawet wtedy, kiedy w życiu coś dzieje się nie tak, jak byśmy chcieli. I nie chodzi tu o sztuczną, udawaną radość mimo bólu. Źródłem tego szczęścia jest miłość i zaufanie do Boga oraz świadomość, po co na tym świecie żyjemy. Naszą ojczyzną jest niebo i do niego dążymy. „Lecz więcej jeszcze, wszystko uznaję za szkodę wobec doniosłości, jaką ma poznanie Jezusa Chrystusa, Pana mego, dla którego poniosłem wszelkie szkody, i wszystko uznaję za śmiecie, żeby zyskać Chrystusa i znaleźć się w nim, [...] żeby poznać go i doznać mocy zmartwychwstania jego, i uczestniczyć w cierpieniach jego, stając się podobnym do niego w jego śmierci, aby tym sposobem dostąpić zmartwychwstania. Nie jakobym już to osiągnął albo już był doskonały, ale dążę do tego, aby pochwycić, ponieważ zostałem pochwycony przez Chrystusa Jezusa. [...] jedno czynię: zapominając o tym, co za mną, i zdążając do tego, co przede mną, zmierzam do celu, do nagrody w górze, do której zostałem powołany przez Boga w Chrystusie Jezusie” (Flp 3,7-14). Jak widzimy, apostoł Paweł – podobnie jak Dawid oraz Pan Jezus Chrystus – także nauczył się przyjmować odpowiednią postawę. Być może już czas zostawić za sobą swoje troski, cierpienie, ból ciężkich doświadczeń, wynikłych bądź z naszej winy, bądź ze zdarzeń zupełnie od nas niezależnych.



rys. Kordian

Pragnę zachęcić każdego, byśmy właśnie dzisiaj zostawili u Boga to, co złego było w naszej przeszłości. Byśmy oddali Mu – wciąż obecne w naszych sercach – zranienia, ból, smutek, rozczarowania... Byśmy mogli spojrzeć na to, co większe – na cel naszego życia: na niebo. Pan Jezus doskonale wiedział, co ma czyścić na tym świecie. I my, jako chrześcijanie, również to wiemy. Dążymy do nieba, gdzie spotkamy się z naszym Panem.

Karol Wesley w jednej ze swych pieśni napisał, że żaden nasz smutek nie jest bezcelowy, żaden czas zmarnowany; nasze znużenie życiem odeszło – żyjemy i służyjemy tylko naszemu Bogu i tylko Jego znamy.

Nie chcę bagatelizować naszych problemów, chcę jedynie podkreślić, że Bóg może je zabrać, że w Nim jest nadzieja. Życzę każdemu z nas, abyśmy co rano, kiedy się budzimy, mocno uświadomiali sobie, że mamy tu, na ziemi cel, że dążymy do nagrody, która czeka nas w niebie. Byśmy byli pewni, że to, co robimy, nie jest bezcelowe, że ta czasem bolesna wędrówka ma swój błogosławiony kres i nigdy nie jesteśmy w niej osamotnieni.

Na koniec chciałabym przytoczyć fragment pewnej bardzo starej pieśni – znalazłam ją niedawno na poślódkach kartkach śpiewnika pisanego odręcznie przez mojego tatę:

Ciągle zaczynam od nowa, choć czasem w drodze upadam.
Wciąż jednak słyszę te słowa: „Kochać to znaczy powstawać”.
Chciałem Ci w chwilach uniesień życie poświęcić bez reszty,
Spójrz, moje ręce są puste, stoję ubogi – ja, grzesznik.
Przyjm jednak małość mą, Panie. Weź serce me, jakie jest.
Jestem jak dziecko bezradny, póki mnie ktoś nie podniesie.
Znów wraca uśmiech na twarzy, gdy mnie Twa miłość rozgrzeszy.
Wiem, że wystarczy Ci, Panie, dobra, lecz słaba ma wola.
Z Tobą mój duch nie ustanie, z Tobą wszystkiemu podołam.
Szukam codziennie Twej twarzy, wracam w tę noc pod Twój dach.
Teraz już wiem, jak Cię kochać. Przyjm moje „teraz”, o Panie.
Dziś rozpoczynam od nowa, bo kochać to znaczy powstawać.
Kochać to znaczy powstawać.

Alina Kozłowska

– studentka III roku Warszawskiego Seminarium Teologicznego.

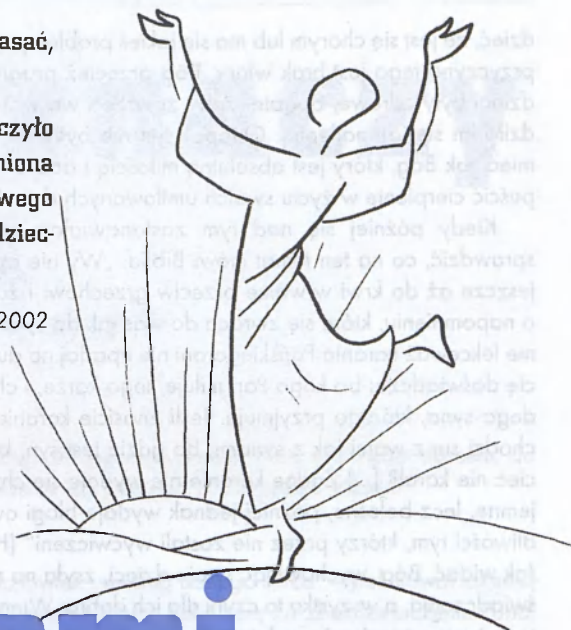
Powyższe kazanie zostało przygotowane i wygłoszone podczas nabożeństwa, w ramach zajęć z homiletyki.

„Weselcie się w ów dzień i skaczcie z radości [gr. *skirtao* – podskakiwać, hasać, podrygiwać]. Oto bowiem nagroda wasza wielka jest w niebie” (Łk 6,23a).

„I stało się, skoro tylko Elżbieta usłyszała pozdrowienie Marii, że podskoczyło radośnie [tu również gr. *skirtao*] dziecko w jej łonie i została napełniona Duchem Świętym [...]. I rzekła: [...] gdy rozległ się w moich uszach głos twego pozdrowienia, podskoczyło radośnie w śpiewie uwielbienia [gr. *skirtao*] dziecko w łonie moim” (Łk 1,41.44).

Ewangelia według św. Łukasza. Przekład ekumeniczny, OW „Słowo i Życie”, Warszawa 2002

Tańczący z Aniołami



rys. Annie Vallotton

Tańczący z Aniołami? Nie, to nie jest imię jakiegoś Indianina czy też przez Indian nadane jakiejś „bladej twarzy”, jak w przypadku tytułowego bohatera znanego filmu pt. „Tańczący z Wilkami”. Tytuł tych rozważań został zapożyczony od Bazylego Wielkiego (329-378), jednego z Ojców Kościoła, który w traktacie poświęconym Duchowi Świętemu mówi, że w życiu człowieka narodzonego z góry ma miejsce czasami – dzięki przebyskowi Ducha – „taniec z aniołami” (według przekładu Wojciecha Gajewskiego – „Chrześcijanin” 7-8/2003, s. 11) czy też „korowód taneczny z aniołami” (według przekładu Aliny Brzostkowskiej – IW Pax, Warszawa 1999, fragm. IX, 23). A więc będzie tu mowa o tańcu.

Taniec świecki

Najpierw – o tańcu świeckim. Do tego rodzaju tańca należy zaliczyć, po pierwsze, taniec ludowy. Stanowi on, ze swoimi strojami i choreografią, dziedzictwo kulturowe danego kraju, regionu lub grupy etnicznej. Jest on ponadto moralnie neutralny. I choć ewangelikalni chrześcijanie w zasadzie w nim nie uczestniczą, to nie mają nic przeciwko oglądaniu go podczas imprez folklorystycznych. Udział w takiej imprezie uważają za miłą, kulturalną i moralnie czystą rozrywkę. Tu pora na wspomnienie: w ramach światowej konferencji poświęconej sprawie ewangelizacji świata, jaka odbyła się w Tajlandii w 1980 r., miało miejsce spotkanie przywódców światowego ruchu zielonoświątkowego z przełożonymi miejscowej wspólnoty zielonoświątkowej. Odbywało się ono w dużej sali restauracyjnej hotelu w Bangkoku. Na początku wspólnego obiadu wbiegła na salę tancerka i wykonała piękny miejscowy taniec ludowy. Rzeczywiście piękny. Nie spotkało się to absolutnie ze zgorszeniem, lecz przeciwnie – z podziękowaniem wyrażonym długotrwałymi oklaskami. Był to taniec piękny i moralnie czysty.

To samo, po drugie, można powiedzieć o balecie. Poza pięknem zawartym w wykonaniu, niesie on też zawsze pewne przesłanie, podobnie jak dość dobrze przyjmowana w naszych kręgach pantomima. W czasie mojej działalności ekumenicznej nie raz miałem przyjemność towarzyszyć zagranicznym delegacjom kościelnym na różnego rodzaju imprezach kulturalnych, głównie zaś do teatru lub opery. Bycie w tych miejscach kultury narodowej nie osłabiło mojej wiary, nie oziębiło miłości i nie umartwiło nadziei. Dodam, że w jednym z angielskich zborów ewangelikalno-charyzmatycznych posługę w przygotowaniu grupy wiernych do tańca liturgicznego sprawuje zawodowa tancerka, osoba narodzona na nowo.

Do grupy tańca świeckiego, po trzecie, należy też taniec erotyczny, powodujący stymulację pożądliwości seksualnej. Skutki tego tańca

bywają jakże często opłakane. Biblijnym przykładem tragicznych skutków tańca, chyba jednak erotycznego, był taniec córki Herodiady, który doprowadził przecież do śmierci Jana Chrzciciela (por. Mk 6,22nn.). Nic przeto dziwnego, że ludzie narodzeni na nowo w takich tańcach nie uczestniczą i na zabawy taneczne nie chodzą. Narodzona na nowo, narodzona z Ducha Bożego, młodzież nie chodzi na dyskoteki, gdzie już sama atmosfera ma woń demoniczną.

Tego rodzaju taniec może być czasem zniewalającym nałogiem. Podczas jednej z międzynarodowych konferencji ewangelicznych od współwyznawców z Brazylii dowiedziałem się, że w ich zborach od nawracających się ludzi oczekuje się całkowitego zerwania z tańcem, podobnie jak oczekuje się zerwania z alkoholem, nikotyną czy narkotykami. Albowiem w tym kraju ludzie nieodrodzeni cierpią na coś w rodzaju uzależnienia tanecznego, czego przykładem dla nas mogą być migawki telewizyjne z karnawału w Rio de Janeiro. Ileż tam grzechu w tych dniach.

Taniec liturgiczny w Biblii i dzisiaj

Następny rodzaj tańca to taniec liturgiczny. W kręgach ewangelikalnego chrześcijaństwa budzi on spór. Jedni są za włączeniem tańca do kościelnej liturgii, inni są temu przeciwni. David Watson, przedwcześnie zmarły anglikański ewangelikalny charyzmatyk, który sprawował skuteczną posługę charyzmatycznego uzdrawiania, był zwolennikiem tańca jako części składowej przynajmniej niektórych nabożeństw chrześcijańskich. Uzasadniał to tym, że przez całe wieki taniec był naturalnym wyrazem kultu ludu Bożego w czasach Starego Testamentu. Oto garść przykładów: Miriam poprowadziła korowód taneczny kobiet po tryumfalnym przejściu ludu izraelskiego przez Morze Czerwone (Wj 15,20nn.). Dawid „tańczył z całej siły przed Panem”, gdy Skrzynię Przymierza wnoszono do Jerozolimy (2 Sm 6,14-23). Psalmista zachęcał lud Boży do chwaleń Boga tańcem (Ps 149,3), do uwielbienia Go „bębniem i tańcem” (Ps 150,4), bo o tańcu mowa tam, gdzie nasze dotychczasowe przekłady mówiły o płaskach. Jeremiasz opisywał odbudowę Jerozolimy jako czas radosnego uwielbienia: „Wtedy panna radować się będzie z korowodu [tanecznego?], także młodzi i starsi razem” (Jr 31,13). Te i inne odnośniki, które łatwo znaleźć w Starym Testamencie, wskazują na to, że taniec jako jeden ze sposobów uwielbienia Boga nie był niczym szczególnym czy niezwykłym. Był to naturalny język ciała, wyraz radości człowieka oddającego chwałę Stwórcy i Odkupicielowi. Bo przecież duchowa służba zakłada używanie naszych ciał dla chwały Bożej (por. Rz 12,1).

Niektórzy są zdania – mówi dalej David Watson – że w Nowym Testamencie nie ma wyraźnej wzmianki o tańcu. Ale przecież taniec był częścią uroczystości z okazji powrotu syna marnotrawnego do domu (Łk 15,15). Taniec był także elementem zabaw dziecięcych (Mt 11,17; Łk 7,32). Byłoby zatem dziwne, gdyby naturalny wyraz radości miał zniknąć, gdy przyszedł Jezus, który przyniósł przecież swemu ludowi pełnię radości.

Ponadto Nowy Testament – to dalej wywód Watsona – przedstawia pionierską sytuację misyjną, kiedy zgromadzenia kościelne odbywały się w domach. A może były wtedy inne priorytety? Może domy były za małe na tę formę uwielbienia? A może taniec odbywał się spontanicznie i nie został opisany, bo po prostu nie wzbudzał problemów? (Przecież większość wskazówek Pawła zostało podanych, by usunąć nadużycia, jakie powstały w tym okresie). Niektórzy komentatorzy są zdania, że gdy Paweł mówił o śpiewaniu Psalmów, miał na uwadze także sposób i styl, w jakim Psalmi śpiewano, a mianowicie przy akompaniamencie muzyki, a często i z towarzyszeniem tańca.

Tym, co wyraźnie wynika z Pisma, jest wniosek, iż nabożeństwo powinno być radością, a nie nudnym obowiązkiem. Wielkie żydowskie święta były czasem wielkiej radości i serdecznej celebracji. Niektóre z nich zawierały element smutku i opamiętania z grzechu, ale prowadziło to do radości płynącej z doznania Bożego przebaczenia i miłosierdzia. Święta miały być zawsze wielkimi i radosnymi festiwalami. Tyle, gdy idzie o wywody Davida Watsona. W swoim kościele w Yorku, w każdym razie, wprowadził on taniec liturgiczny jako część składową niektórych nabożeństw.

Do grupy tańców liturgicznych należy zaliczyć pantomimę, a także taniec dzieci chrześcijańskich z King's Kids (Królewskie Dzieciaki) – organizacji znanej również w kręgach ewangelikalnych w naszym kraju.

Odmienne zdanie na temat tańca liturgicznego miał inny przedstawiciel ewangelicznego chrześcijaństwa – Herbert M. Carson, którego praca poświęcona chrześcijańskiemu nabożeństwu była swego czasu publikowana na łamach naszego miesięcznika. I ten autor zgadza się, że w okresie Starego Testamentu taniec był popularną formą wyrażania uwielbienia dla Boga. Ale milczenie Nowego Testamentu w tej kwestii jest bardzo uderzające. Nie mamy tu żadnej wzmianki o tańcu jako sposobie oddawania chwały Bogu. Nie ma też żadnego nakazu ani nawet pojedynczego słowa uświęcającego tę praktykę. Tańce dzieci z ilustracji Jezusa czy taniec córki Herodiady nie mają choćby pośrednich związków z wiarą. Dwie wzmianki na temat tańczenia w Dziejach Apostolskich odnoszą się do ludzi, którzy skakali z radości po doznaniu uzdrowienia z kalectwa, na które cierpieli od urodzenia. Trudno się dziwić, że ludzie, którzy po raz pierwszy w życiu poczuli władzę w nogach, podskoczyli z zachwytu. Nie byłoby też nic dziwnego w tym, gdyby Duch Święty pobudził ich, by w ten sposób pokazali, iż są naprawdę uzdrowieni.

Jednakże patrząc na opisy nabożeństwa Kościoła czy to w Dziejach, czy też w Listach albo dokonując przeglądu nauki apostoelskiej, nie znajdujemy żadnej wzmianki na temat tańca jako części składowej nabożeństwa chrześcijańskiego. I nic w tym dziwnego, jeśli weźmiemy pod uwagę kontekst życia wczesnego Kościoła w obrębie dwóch kultur – greckiej i rzymskiej. Ponieważ zarówno w społeczeństwie greckim, jak i rzymskim taniec kojarzył się z pogańskim kultem, a więc z niemoralnością i bałwochwalstwem, nie znajduje on dla siebie miejsca w Nowym Testamencie. Jeśli ktoś przeżył cudowne uzdrowienie, jak ludzie opisani w Dziejach Apostolskich, to nie dziwimy się, widząc ich skaczących z radości. Jest też rzeczą zrozumiałą, gdy ktoś znalazłszy się pod przemożnym wpływem Ducha Świętego, zachowa się jak Chrzęścijanin z Wędrowki Pielgrzyma Johna Bunyana, który po zrzuceniu swego ciężaru pod krzyżem „zrobił trzy skoki z radości”. Czymś zupełnie innym jest jednak przygotowywanie choreografii do tego, co niektórzy usiłują nazwać „duchowym tańcem”. Widzimy więc, że taniec liturgiczny to sprawa dyskusyjna. I takową, moim zdaniem, powinien pozostać.

Taniec charyzmatyczny

Nas interesuje przede wszystkim taniec będący wyrazem natchnienia z góry; taniec będący skutkiem przebytku Ducha Bożego. Taniec

charyzmatyczny. Trudno powiedzieć, czy takim tańcem był korowód taneczny Miriam i jej towarzyszek po przejściu Morza Czerwonego. Natomiast na pewno tego rodzaju tańcem był taniec Dawida przed Skrzynią Przymierza. Tego rodzaju tańcem było podskakiwanie chromego przy świątynnej bramie Pięknego w Jerozolimie po jego cudownym uzdrowieniu. Takim tańcem były owe „trzy skoki z radości” człowieka z Wędrowki Pielgrzyma, który doznał przebaczenia grzechów.

Na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego już stulecia częstym gościem w zjednoczonym zborze ewangelicznym w Warszawie był Earl S. Poysti z USA, znany wówczas rosyjskojęzyczny kaznodzieja radiowy. Podczas jednego z pobyków wygłosił cykl kazań o patriarsze Jakubie. Pamiętam, że opowiadając o przeżyciu Jakuba w Betelu, powiedział – na podstawie jakichś komentarzy – że po tym duchowym przeżyciu Jakub nie tylko „ruszył z miejsca i poszedł do ziemi ludów Wschodu” (Rdz 29,1), ale ruszył w podskokach, ruszył w płaskach, tańcząc z radości. I ja to czynię – mówił kaznodzieja, którego bardzo lubiliśmy słuchać – gdy Duch Boży mnie ogarnia, ale czynię to w swoim mieszkaniu, w swojej „komorze”, by nikogo nie gorszyć.

Opowiadano mi, że gdy przedstawiciele różnych misji przychodzili do siedziby Fundacji Kathryn Kuhlman (1907-1976), by prosić ją o wsparcie finansowe dla swojej działalności, ta wybitna ewangelistka zapraszała najpierw gości do uwielbienia Pana. Wstawała ona, wstawali goście i przez pół godziny albo dłużej chwalili Pana, klaszcząc, chodząc i podskakując w jej obszernym gabinecie. Dopiero potem przysiępowano do rozmów.

Nadal pozostaje w mojej pamięci nabożeństwo w Wieczerniku w Jerozolimie, w styczniu 1990 r. W pewnym momencie Duch Boży ogarnął czarnoskórą współwyznawczynię z naszej amerykańsko-polskiej grupy pielgrzymkowej tak wyraźnie, że wprost cudownie tańczyła przed Panem. Wcale nie ku zgorszeniu, lecz ku radości wszystkich uczestników tego szczególnego nabożeństwa.

Taniec tego rodzaju – taniec charyzmatyczny – towarzyszy często okresom duchowych przebudzeń. Odnosi się to także zarówno do pentekostalizmu, jak i do jego korzeni, jakimi był metodyzm, a szczególnie jego duchowy owoc – ruch świętości. Jeszcze dziś w wielkim słowniku angielsko-polskim można przeczytać – czego polscy metodyści zdają się wstydić, choć nie powinni – że angielskie słowo *juniper* (od *jump* – skakać) – to metodysta podskakujący w czasie modłów.

Jezus mówi, że tego rodzaju taniec – skakanie z radości – mają przeżywać prześladowani za wiarę w Jego imię. A Jan Chrzciel, syn Zachariasza, znalazł się w takim tanecznym korowodzie – że tak powiem – jeszcze przed swoim narodzeniem, w łonie swojej matki Elżbiety.

Jest rzeczą ciekawą, że dopiero czterech ekumenicznych tłumaczy Ewangelii według św. Łukasza: ks. Michał Czajkowski, abp Jeremiasz – Jan Anchimiuk, Mieczysław Kwiecień i Jan Turnau, prawidłowo oddają greckie *skirtao*: jako skakanie z radości, a nie jedynie weselenie się, jak mówiły wszystkie poprzednie polskie przekłady, zarówno rzymskokatolickie, jak i protestanckie.

Czy to charyzmatyczne podskakiwanie, natchnione przez Ducha Bożego, miał na myśli Bazyli Wielki, gdy mówił o tańcu z aniołami? Czy raczej chodziło mu o tzw. lotność, polegającą na cielesnym, niemal błyskawicznym przemieszczeniu się z jednego miejsca na drugie, czego doświadczyli – jak wyczytałem w chrześcijańskiej literaturze – rzymski katolik o. Pio i zielonoświątkowiec David du Plessis? Trudno powiedzieć.

Niech nasze rozważania zakończy słowo ewangelicznego poety:

Już jaśnieje z daleka nam kraj;
Okiem wiary widzimy go tu,
Jezus wnet nam otworzy ten raj [...]
Wnet, o, wnet, jaki cud –
Wejdzie Pański z płaśnieniem tam lud.

Wejdzie z płaśnieniem, podskakując, wejdzie w tanecznym korowodzie.

Edward Czajko

„Myśli nieuczesane” o modlitwie

Zamiast pisać, mówić czy czytać o modlitwie, najlepiej byłoby po prostu się modlić. Teorię w tej materii mamy bogatą, a w praktyce wygląda to dosyć skromnie, biorąc pod uwagę chociażby zaangażowanie uczestników nabożeństwa w jego modlitewną część. Nie chcę przypisywać samej modlitwie jakiegoś magicznego znaczenia, ale utkwily mi w pamięci obrazy z dzieciństwa, gdy nadchodziły fale przebudzenia (mam na myśli okresy ożywienia w tzw. ruchu misyjnym wewnątrz Kościoła luterńskiego, do którego wtedy należałam) i na różnych spotkaniach ludzie dorosli wokół mnie modlili się z zapałem, jakby zapominali o czasie.

Zawsze robiło to na mnie wrażenie, chociaż wtedy było dla mnie raczej ćwiczeniem się w cierpliwości. Pozostawiło również przekonanie, że szczególne Boże działanie idzie w parze z modlitwą, do której nikt ludzi nie zmusza, nawet nie zachęca, bo oni pragną się modlić.

Coś, co mnie kiedyś nudziło, nieco później stało się znaczącą częścią planu duchowego rozwoju młodej chrześcijanki. Okresowo chciało mi się modlić, a czasem była to dla mnie żmudna praca; tak czy owak, przykładałam się do modlitwy i, co najważniejsze, doświadczałam jej rezultatów. A ostatnio właśnie w modlitwie, i to od dłuższego czasu, drąży mnie nieustępliwa myśl, by nieco z tych doświadczeń „rzucić w eter”.

Prawdziwe życie z Bogiem zaczyna się zazwyczaj od tego, że ktoś głosił nam Ewangelię, a potem się z nami modlił. Dalszy rozwój tej relacji zależy już od osobistego zaangażowania w modlitwie indywidualnej i społecznej.

Modlitwa indywidualna („w komorze”, Mt 6,6) ma zasadnicze znaczenie dla nawiązania i kontynuowania bliskiej, intymnej więzi

z Bogiem. Możemy Mu powiedzieć o wszystkim, co nam leży na sercu. Bóg nie oczekuje, że najpierw poprawimy swój duchowy wizerunek, a potem zwrócimy się do Niego jak podczas audycji u ważnej osobistości. Jako Jego dzieci mamy prawo powiedzieć Mu o tym, co nas cieszy i z czym sobie w danej sytuacji nie radzimy, np. może to być złość, rozgoryczenie, poczucie bezradności.

Wiele psalmów to przykłady modlitwy, w której człowiek opisuje swój wewnętrzny stan, ale jednocześnie prosi o pomoc, przebaczenie, wyraża ufność wobec Boga. W Psalmie 62,9

czytamy: „Wylewajcie przed nim serca wasze, Bóg jest ucieczką naszą!”. W takiej modlitwie nie musimy się czuć skrępowani albo czymkolwiek ograniczeni. Jestem przed Bogiem i dla Niego, a On jest dla mnie.

Jeśli dobrze się czuję sam na sam z Bogiem, mam z Nim bliski kontakt, czy potrzebna mi jeszcze modlitwa, i to głośna, w gronie innych wierzących?

Po pierwsze, Słowo Boże uczy: „...jeśli ustami swoimi wyznasz, że Jezus jest Panem, i uwierzysz w sercu swoim, że Bóg wzbudził go z martwych, zbawiony będziesz” (Rz 10,9). Za każdym razem, gdy głośno się modłę w społeczności ludzi wierzących, wyznaję przed nimi, że Jezus jest moim Panem, niezależnie od tego, co jest treścią tej modlitwy. Jest to świadectwo dla innych, a także umocnienie mojej wiary. Konsekwentnie opowiadam się za tym, co wybrałam, decydując się zaprosić Pana Jezusa do swojego serca.

Jeśli odczuwasz lęk przed głośną modlitwą, obecność innych cię krępuje, proś Pana o pomoc w przełamaniu tej blokady, rozpocznij chociażby od jednego zdania. W Psalmie 81,11 jest obietnica: „Otwórz szeroko swe usta, a napełnią je!”. Zacznij, a Duch Święty poprowadzi cię w modlitwie. Kiedy małe dziecko uczy się mówić, każde nowe słowo, które wypowiada, budzi zachwyt rodziców i rodzeństwa. Ty też uczysz się rozmowy z Bogiem, daj sobie czas i nie przejmuj się tym, że wychodzi to nieporadnie.

Po drugie, czytamy w Biblii, że „sercem wierzy się ku usprawiedliwieniu, a ustami wyznaje się ku zbawieniu” (Rz 10,10). Jesteśmy zbawieni przez akt przyjęcia Pana Jezusa do swojego serca, a w ciągu naszego życia wiele razy potrzebujemy wybawienia od różnych ciężarów, trudności, pożądlivosti. Nie doświadczymy tego wybawienia, biernie czekając, aż inni skończą się modlić podczas nabożeństwa, żeby można było opaść na ławkę czy krzesło i słuchając jednym uchem pastora, dalej „przeżuwać” swój problem. Jeżeli chcesz doznać pomocy, zawołaj do Boga swoimi ustami, wyznaj, że On ma moc, nawet gdy tego nie czujesz, a może tym bardziej, skoro tego nie czujesz. Nie daj się pokonać diabłu, który za wszelką cenę będzie się starał powstrzymać i zniechęcić cię do modlitwy.

Po trzecie, oczywiście możesz się modlić o swoje sprawy na osobności, ale słowa Mt 18,19-20 zachęcają nas do wspólnej modlitwy z innymi: „Nadto powiadam wam, że jeśli dwaj z was na ziemi uzgodnią swe prośby o jakąkolwiek rzecz, otrzymają ją od Ojca mego, który jest w niebie. Albowiem gdzie są dwaj lub trzej zgromadzeni w imię moim, tam jestem pośród nich”. Nasi bracia i siostry w Jezusie Chrystusie mogą nas wesprzeć w modlitwie, z kolei ty możesz być wsparciem dla innych. Rezultaty takiej modlitwy wzmacniają naszą wiarę. Uczymy się miłości, troski o cudze sprawy, uświadamiamy sobie, że jesteśmy członkami Ciała Chrystusowego, częścią Jego Kościoła.

rys. Annie Vallotton

Po czwarte, Pan Jezus modlił się o jedność tych, którzy uwierzyli w Niego (J 17,21). Takie zjednoczenie, wspólnotę z innymi chrześcijanami przeżywamy właśnie w modlitwie. Zauważ, że często wystarczą jakis drobny zgrzyt w twoich kontaktach z bliźnimi, jakaś niechęć do kogoś i już gasnie twój zapal do modlitwy. Z drugiej strony, jeśli cenisz sobie tę modlitewną wspólnotę, przełamuję się, wybaczam lub proszę o wybaczenie, staram się być wyrozumiała i nie pozwalam na to, aby moja osoba była przeszkodą w dążeniu do jedności.

Po piąte, Słowo Boże mobilizuje nas do wytrwałości w modlitwie (Rz 12,12). Czasem ludzie w społeczności modlą się gorliwie, nie trzeba ich do tego zachęcać. Wszyscy przeżywają Bożą obecność i z tego się cieszą. Czasem jednak idzie to jak po grudzie. Jaką postawę wtedy przyjmujesz? Czy jesteś drzwiami dla Ducha Świętego i modlisz się, by działał w tej grupie, walczysz o „teren” dla Boga, czy też milczysz jak inni, a w sercu myślisz sobie: „Czemu tu się nic nie dzieje?”. Możesz być w społeczności barierą dla Ducha Świętego przez brak posłuszeństwa co do modlitwy albo kimś, kto takie przeszkody przełamuje i toruje drogę dla Niego w sercach innych osób. Nieraz zdarzało się, że słyszałam w duchu nakaz „Pomódl się!”. Nie zawsze byłam posłuszną, ale też zauważyłam, że czasem moja modlitwa jak gdyby przełamывала niewidzialną blokadę, a inni zostali do niej uwolnieni. Myślę, że nie przypisuję sobie szczególnego znaczenia. Chcę tylko podkreślić, że każdy uczestnik nabożeństwa przez swoją postawę jest albo otwartym, albo zamkniętym (a może raczej zatkanym) kanałem dla Bożego działania.

I wreszcie, ostatnia, raczej formalna uwaga. Modlitwa w społeczności wymaga pewnej dyscypliny. Zazwyczaj jesteśmy ograniczeni czasem, więc modlitwa nie powinna być długa, żeby inni również mogli w niej brać udział. Poza tym, w modlitwie sam na sam z Bogiem można poruszyć każdy temat, natomiast w społeczności nie o wszystko należy się modlić na głos, niektóre sprawy po prostu nie nadają się do publicznej wiadomości. Dobre intencje nie usprawiedliwiają niedyskrecji. Ktoś rozmawiał z tobą o swoich problemach małżeńskich, ale to nie oznacza, że podczas nabożeństwa masz prawo modlić się wobec wszystkich o kłopoty tej rodziny. W Przypowieściach Salomona 19,2 czytamy: „Gdzie nie ma rozważi, tam nawet gorliwość nie jest dobra”, bądźmy więc gorliwi, ale w sposób mądry.

A teraz, kochani, do dzieła!

Ewa Urbaniak

– psycholog, wychowawca w Chrześcijańskim Ośrodku dla Osób Uzależnionych w Broczynie

Głodu naszego powszedniego...

Wiele lat temu przeczytałam po raz pierwszy Psalm 63. W ślad za tymi słowami popłynęła ogromna fala emocji: zachwyty, radości, ekscytacji odkryciem intymnego spotkania, podziwu dla Dawida, tęsknoty, zadumy... a w końcu głodu. Czy Bóg naprawdę odśłania się w taki właśnie sposób? Czy można tak pragnąć Boga, by mieć taką właśnie, głęboką, intymną relację z Nim?

Boże, Tyś Bogiem moim, Ciebie gorliwie szukam,
Ciebie pragnie dusza moja,
Tęskni do Ciebie ciało moje

Jak ziemia zeschła, spragniona i bezwodna... (Ps 63,2).

Głód Boga. Być może jedno z najbardziej nie rozumianych, źle interpretowanych pragnień zarówno Kościoła, jak i tego świata. Wrodzone pragnienie dziecka, by być z Ojcem. Tęsknota, która nie może być zaspokojona w żaden inny sposób. Pragnienie skutecznie zagłuszane przez diabła, który w zamian oferuje pragnienie posiadania, pragnienie władzy, pragnienie znaczenia, przymus picia alkoholu i wiele innych śmieci. Czasami Kościół próbuje to pragnienie zaspokoić różnymi formami religijności albo gasi je, przynaglaając nas do odczuwania bezustannej radości albo wymagając bezustannego działania.

Czasami jednakże znudzony, zmęczony, wygłodniały Kościół zaczyna uświadamiać sobie, że tym, czego zarówno doświadcza, jak i potrzebuje, jest właśnie to pragnienie. Święci rozpoznają je w sobie. Potrafią je nazwać. Zaczynają nawoływać innych do modlitwy o głód, jeśli go nie ma. Serca zwracają się wówczas do Boga. To jeden z chrześcijańskich paradoksów. Bóg daje głód i On sam jest jego zaspokojeniem. Widząc znudzony, zmęczony Kościół, zaczynamy modlić się o głód Boga dla siebie i dla innych. I oto właśnie chodzi.

Tylko że często zapominamy o jednym. Głód to nie jest przyjemne uczucie. Głód doprowadza ludzi do desperacji, do robienia rzeczy, których nigdy wcześniej nie robili. Człowiek głodny nie może się skoncentrować na wycieczce do galerii i podziwianiu obrazków. Człowiek głodny nie może skoncentrować się na działaniu. Człowiek głodny może być głupcem i sprzedać dziedzictwo za miskę zupy. Człowiek głodny jest niespokojny, gorliwie szuka. Jego ciało tęskni za Pożywieniem. Jego dusza pragnie Obecności, tak jak zeschła, spragniona i bezwodna ziemia.

Często prosimy Boga i nawołujemy innych, by prosili Go o głód Jego samego. I bardzo nam tego potrzeba, ale potrzeba nam także umiejętności rozpoznania tego głodu i Bożej odpowiedzi na naszą modlitwę. Prosimy o głód, a potem jesteśmy rozczarowani, że czujemy się niezadowoleni, nie usatysfakcjonowani, czegoś szukamy... A o to właśnie chodzi.

Nauczmy się rozpoznawać ten głód u siebie i u innych. Powiedzmy tym, którzy nie znają Boga, że są niezaspokojeni w życiu, bo tylko Bóg może ich zaspokoić, że ich brak satysfakcji wypływa z tego, że są zagłodzeni. Nie mówmy wierzącym, którzy usychają z tęsknoty za Bogiem, szukają, są nie usatysfakcjonowani, że powinni uporządkować swoje emocje i cieszyć się tym, co mają. Nie! Dziękujmy Bogu za ten głód! Rozpoznajmy go! I chodźmy najeść, nasycić się do Niego samego. Programy i działania kościelne nie są źródłem zaspokojenia. Bóg nim jest. Głód narkotykowy, głód alkoholowy są tylko namiastką prawdziwego głodu, tęsknotą serca porwanego na strzępy z pragnienia Boga samego. Namiastką desperacji Oblubienicy, która szuka Oblubieńca.

Znamy Boga, mamy Słowo i wiemy, że o ile głody „ziemskie” doprowadzają ludzi do obłądów, przestępstwa, śmierci, o tyle głód Boga (o ile tylko go rozpoznamy) wprowadza nas w Jego obecność, w radość, satysfakcję, spełnienie... A potem rodzi jeszcze większe pragnienie i świadomość, że im dalej się idzie, tym więcej jest do odkrycia, tym głębsza społeczność z Bogiem, tym bliższa więź Oblubienicy z Oblubieńcem:

Dusza moja przylgnęła do Ciebie (Ps 63,9).

Oto zaspokojenie głodu Boga: przyssanie duszy do Bożej obecności, wyczekiwanie dnia, kiedy będzie tylko On, i nawoływanie innych do uświadomienia sobie, czym jest to wszechobecne niezaspokojenie i gdzie jest prawdziwe pożywienie. Głód jest chlebem, który pozwala nam wybierać samego Boga.

Anna Kotarska



z wizytą w norweskim Centrum Ewangelii

Inaczej niż przed rokiem, tym razem oglądaliśmy dużą, dynamicznie działającą chrześcijańską organizację, która doświadczyła strat ekonomicznych oraz moralnych. A jednocześnie to, co zobaczyliśmy, było dla nas piękną lekcją chrześcijańskiej, solidarnej obrony przed oszczerczymi atakami. „Nie wyobrażamy sobie Norwegii bez Centrum Ewangelii” – mówili jednym głosem przywódcy chrześcijańskich Kościołów i byli pacjenci ośrodków Ludwiga Karlsena.

W dniach 22-27 lipca 2003 r. trzydziestoosobowa grupa pracowników Misji „Nowa Nadzieja” z Polski uczestniczyła w konferencji zorganizowanej przez Zielonoświątkową Fundację „Centrum Ewangelii” (CE) w Norwegii. Pojechalśmy tam na osobiste zaproszenie Ludwiga i Lisy Karlsenów, którzy w sierpniu 2002 r. byli gośćmi konferencji „Powołanie i pasja”, zorganizowanej przez naszą Misję w Łodzi. W polskiej delegacji znaleźli się przedstawiciele kilkunastu zborów Kościoła Zielonoświątkowego, w których działa Misja: Ustronia, Bielska-Białej, Krakowa, Dąbrowy Górniczej, Mysłowic, Raciborza, Jeleniej Góry, Żar, Wodzisławia Śląskiego, Namysłowa, Piotrkowa Trybunalskiego, Radomska, Konstancyna Łódzkiego, Łodzi i Hajnówki.

„Evangeliesenters Landsstevne”, czyli doroczna ogólnokrajowa konferencja Centrum Ewangelii, odbywała się jak co roku w Østerbo

– jednym z ośrodków tej chrześcijańskiej misji, założonej przed trzydziestoma laty przez Ludwiga Karlsena. Mottem spotkania były słowa dobrze nam znane dzięki książce Ludwiga Karlsena¹: „Jest jeszcze nadzieja”.

Każdego lata na konferencję do Østerbo przybywają tysiące chrześcijan. Właściwie nie jest to typowa konferencja, a raczej spotkanie przebudzeniowe. Ten największy zlot chrześcijański w Norwegii gromadzi regularnie od trzech do czterech tysięcy chrześcijan, którzy szczerze wypełniają specjalnie wybudowaną do tych celów halę sportową.

Historia organizowania wielkich spotkań zielonoświątkowych sięga początkowych lat istnienia Centrum. Wówczas to – od nawrócenia Ludwiga Karlsena, przestępcy i alkoholika – rozpoczęło się największe w Norwegii duchowe przebudzenie wśród ludzi wykluczonych na społeczny margines, bezdomnych i uzależnionych. Szacuje się, że z pomocy Centrum skorzystało już ponad 20 tysięcy alkoholików i narkomanów, a większość z nich doświadczyła nowego narodzenia. Spektakularne nawrócenia, nabożeństwa pełne manifestacji darów Ducha Świętego przyciągają chrześcijan. Wraz z nimi przybywają ludzie poszukujący pomocy, narkomani i alkoholicy. Głoszenie Ewangelii, świadectwa Bożego działania, porywająca, radosna muzyka, setki

osób odpowiadających na zaproszenie do modlitwy, tłumaczenie daru języków – tak pokrótce scharakteryzować można typowe nabożeństwo zielonoświątkowe w Centrum Ewangelii.

Østerbo

Do Østerbo dotarliśmy wczesnym rankiem we wtorek 22 lipca. Mężczyzna czuwający przy bramie wjazdowej, jeden z byłych pensjonariuszy, przywitał nas serdecznym uśmiechem i łamaną angielszczyzną wskazał miejsce noclegu – kościół stojący w samym centrum ośrodka. Po dwudniowej podróży wszyscy byliśmy zmęczeni, ale choć próbowaliśmy odpoczywać, już po kilku godzinach udzieliła nam się atmosfera gorączkowych przygotowań do wieczornego nabożeństwa inauguracyjnego konferencji. Wielu z nas z zaciekawieniem zwiedzało to rozległe centrum rehabilitacyjne dla narkomanów i alkoholików. Ośrodek, pięknie położony wśród lasów i jezior, zajmuje ponad osiemdziesiąt hektarów, a dzięki swoim domkom mieszkalnym, kościółkowi w samym środku, szkole, przedszkolu, biurom, sklepikom, warsztatom i pomieszczeniom gospodarczym robi wrażenie małego miasteczka.

Zanim jeszcze Østerbo ocknęło się ze snu, obok kościoła spotkaliśmy Ludviga, który modlił się podczas porannego spaceru. Wymieniliśmy serdeczne uściski i próbowaliśmy zamienić kilka słów. Ludvig zadawał pytania po norwesku i gdyby nie świadomość, że żaden z nas nie zna języka swego rozmówcy, można by odnieść wrażenie, że dogadujemy się całkiem nieźle. Był to jeden z nielicznych razów, gdy widzieliśmy Ludviga równie pogodnego, prostodusznego jak przed rokiem u nas, w łodzi. Ale choć był najbardziej oczekiwanym mówcą konferencji, już drugiego dnia musiał nas opuścić z powodu nagłego załamania się stanu zdrowia.

Byliśmy jedyną zagraniczną grupą. W programie zapowiedziano nas jako chór z Polski. Podczas niektórych nabożeństw mieliśmy śpiewać na przemian z innymi zespołami muzycznymi. Na spotkaniu z Åsmundem Kilde, współorganizatorem naszej wyprawy i szefem Fundacji „Bezpieczne Schronienie”, ustaliliśmy jednak, że celem tej wizyty nie będzie tylko bierny udział w nabożeństwach i innych spotkaniach przewidzianych w programie, ale także zaprezentowanie polskiej działalności misyjnej w osobistych kontaktach z uczestnikami konferencji oraz, na zakończenie, w specjalnym programie telewizyjnym. Zostaliśmy wyposażeni w przygotowane przez Åsmunda w języku norweskim ulotki „Nyt Hap Misjon” (czyli Misja „Nowa Nadzieja”). Dzięki Bogu, mieliśmy też dwoje nieocenionych tłumaczy: Anię ze zboru w Gdańsku, która tłumaczyła już Ludviga podczas naszej pierwszej konferencji „Powołanie i pasja” w łodzi, i Tadeusza, Polaka na stałe mieszkającego w Norwegii, który przyjechał do Østerbo specjalnie ze względu na nas.

Podczas nabożeństwa otwierającego konferencję szybko odnaleźliśmy się w panującej tu atmosferze chrześcijańskiego świętowania i uwielbiania Boga. Rozpoznaliśmy stare chrześcijańskie pieśni: „Zmartwychwstał Pan”, „Jezus, ile treści w imieniu tym”, „Dziś przychodzę, Panie mój”, i natychmiast przyłączyliśmy się do śpiewu. Po nieco przydługim kazaniu, które wygłosił znany ewangelista telewizyjny Svein Magne Pedersen, dziesiątki osób odpowiedziały na wezwanie do przyjęcia Jezusa. Pełni wrażeń, zmęczeni zakończyliśmy nasz pierwszy dzień w Centrum.

Modlitwa

Nikomui nie przeszkadzała noc spędzona na materacach w kaplicy nowo wybudowanego kościoła w Østerbo. Wszędzie panowała atmosfera pikniku. Uczestnicy konferencji nocowali najczęściej w przyczepach kempingowych, gęsto rozsianskich na ogromnym polu namiotowym. Spotkało nas swego rodzaju wyróżnienie, że, mówiąc słowami Psalmu, mogliśmy dosłownie zamieszkać w Przybytku Pańskim. Co najważniejsze – nie tylko zamieszkać. Codziennie rano w „naszej” kaplicy odbywały się spotkania modlitewne. Organizatorzy w małym, kilkudziesięcioosobowym składzie przychodzili do kaplicy Centrum Ewangelii, by otoczyć dzieło konferencji modlitwą wstawienniczą.

– Musimy rozmawiać z Bogiem o Norwegii, o przebudzeniu – wzywał do modlitwy Ole Holmen, dyrektor ośrodka w Østerbo.

Polacy siłą rzeczy stali się częścią zespołu modlitewnego. Od tej pory każdego ranka w kaplicy kościoła w Østerbo modlitwy zanoszono w dwóch językach: polskim i norweskim. W atmosferze uwielbiania Boga, gdy cichła pieśń po norwesku, Polacy intonowaliśmy własną: „Panie, dzięki Ci za zbawienie, za uzdrowienie i przebaczenie grzechów mych”. Czy będziemy równie gorliwie „rozmawiać z Bogiem o Polsce”, gdy wrócimy do kraju? Kto wie, czy te poranne nabożeństwa nie były dla nas najważniejsze...

Podczas wieczornego nabożeństwa w środę, 23 lipca, usługiwał młodszy brat Ludviga – Daniel Karlsen. Wielu z nas pamiętało opis jego nawrócenia z książki Ludviga



fol. z książki „Jest jeszcze nadzieja”



Jest jeszcze nadzieja? Zanim jeszcze ewangelista zakończył kazanie, pierwsze osoby wybiegły do przodu. Klękając na schodach przed podium, modliły się, pokutowały. Po nich wychodzili następni. W modlitewnym zgiełku zauważyliśmy, że grupa kaznodziejów otoczyła Ludviga, modląc się o niego. Nazajutrz rano poznaliśmy powód – Ludvig miał zawał.

Muzyka w Centrum Ewangelii

Każdy dzień kończył się koncertem muzyki chrześcijańskiej. W środę odbył się bardzo oryginalny koncert pt. Noc country. Jostein Kirkenes, lider uwielbienia w CE, z satysfakcją tłumaczył mi nazajutrz, jak doszło do zorganizowania tego niecodziennego wydarzenia. Pewnego dnia, poruszony wewnętrznym głosem Ducha Świętego, zadzwonił z zaproszeniem do wszystkich znanych mu chrześcijańskich muzyków country w Skandynawii. Do Østerbo przyjechało kilkunastu popularnych skandynawskich solistów ze swoimi zespołami. Zgodzili się wystąpić bez żadnego honorarium. Jak podano w zaproszeniu, przyjęchali, aby wielbić swego Pana i Mistrza, Jezusa Chrystusa.

Jak ogromną rolę odgrywa muzyka w Centrum Ewangelii, można było się przekonać już pierwszego dnia konferencji. Radosne, pogodne, melodyjne pieśni, które śpiewa się w Centrum, w jakiś szczególny sposób odróżniają się od znanych nam współczesnych „refrenów”, śpiewanych na nabożeństwach podczas uwielbienia. Wiele z nich to tradycyjne chrześcijańskie hymny albo stare pieśni śpiewane niegdyś w zielonoświątkowych zborach, którym nadano nową aranżację. Ich treścią są często świadectwa zbawienia, uzdrowienia czy napełnienia Duchem Świętym. Wykonywane przez dwuosobowy chór pensjonariuszy Centrum Ewangelii, są świadectwem mocy Jezusa Chrystusa i Jego Ewangelii, która zmieniła życie śpiewających w tym chórze chłopaków i dziewcząt.

Po dwóch dniach wiedzieliśmy już na pewno, że zgromadzenie, w którym uczestniczymy, jest nie tyle konferencją, ile raczej swego rodzaju chrześcijańskim kongresem, którego rytym wyznaczają codzienne nabożeństwa, odbywające się w regularnych godzinach: o 11.00, 16.00, 19.30 i 22.30. Podczas nabożeństw usługiwali znani kaznodzieje, wywodzący się z szeroko rozumianego ruchu zielonoświątkowego, ale nie tylko. Jeden z nich przechodząc rankiem obok kościoła, usłyszał nasz polski śpiew. Głosząc kazanie podczas popołudniowego nabożeństwa, zaświadczył o głębokim duchowym przeżyciu, którego wtedy doznał, i poprosił nas o usługę pieśni podczas wieczornego nabożeństwa. Wieczorem polski chór „Nowej Nadziei” śpiewał znaną już w Mi-sji pieśń: „Syna marnotrawnego do domu wzywa Bóg”.

„Diabeł nas zaatakował”

Podczas nabożeństw, wśród intencji modlitewnych zgłaszanych przez uczestników konferencji, regularnie powtarzała się prośba o uzdrowienie Ludviga Karlsena. Mieliśmy świadomość, że nagłe załamanie się jego zdrowia było nie tylko efektem przepracowania (Karlsen należy do najaktywniejszych w Norwegii ewangelistów). Wszyscy wiedzieli, że w ostatnich miesiącach Centrum Ewangelii przeżywało kryzys. Prasa szeroko rozpisywała się na temat domniemyanych nadużyć finansowych Ludviga i jego współpracowników. Zarzucano im, że Centrum dostaje zbyt duże środki finansowe od państwa i nieracjonalnie nimi gospodaruje. Argumenty te zostały szybko odparte przez ekonomistów z CE, a odpowiedź Ludviga, opublikowana w mediach, była bardzo prosta: „Diabeł nas zaatakował”. Z czasem wszystko wyjaśniono i wszystkie zarzuty okazały się absolutnie bezzasadne, jednak nad Centrum Ewangelii nadciągnęły ciemne chmury.

Właśnie w takim momencie znaleźliśmy się w Norwegii. Inaczej niż przed rokiem, tym razem oglądaliśmy dużą, dynamicznie działającą chrześcijańską organizację, która doświadczyła strat ekonomicznych oraz moralnych. A jednocześnie to, co zobaczyliśmy, było dla nas piękną lekcją chrześcijańskiej, solidarnej obrony przed oszczerzcami atakami. Ewangelisci i kaznodzieje apelowali do zgromadzonych o modlitwę za Ludvigiem i Centrum Ewangelii. „Nie wyobrażamy sobie Norwegii bez Centrum Ewangelii” – mówili jednym głosem przywódcy chrześcijańskich Kościołów i byli pacjenci ośrodków Ludviga Karlsena. Na każdym nabożeństwie ich pensjonariusze opowiadali świadectwa o cudach zbawienia, uwolnienia od nałogów i uzdrowienia. Takie jak to, którym podzielił się niepozorny mężczyzna z włosami spiętymi w kitkę:

– Trzy lata temu straciłem matkę, ojca i brata – mówił ze łzami Petter. – Wszyscy mieli raka złośliwego i ja również. Byłem już w hospicjum, po operacji. Wtedy przyszedł ktoś z Centrum Ewangelii. To były ostatnie minuty mojego życia. Padliśmy na kolana. Chciałem żyć. Mam czternastoletnią córkę, ona potrzebuje ojca. Przyszła do mnie do pokoju i powiedziała: „Tato, ty nie umrzesz, Bóg mi powiedział, że będziesz żył. Masz dopiero niewiele ponad czterdzieści lat”.

– Poznałem Jezusa, wszedł do pokoju. Cały pokój został wypełniony Bożą obecnością, a On siedział z otwartymi ramionami. Powiedział: „Będziesz żył wiele lat”. Zostawiłem aparat, do którego byłem podłączony, chodziłem i rozmawiałem z pielęgniarkami. Byłem uzdrowiony! Teraz jeżdżę po wielu miastach Norwegii i opowiadam, co Jezus dla mnie uczynił.

W piątek wieczorem dowiedzieliśmy się, że stan Ludviga się poprawił. Bóg wysłuchał naszej modlitwy.



Chrzest

Na sobotę, 26 lipca, zaplanowany został chrzest wiary. W pobliskim jeziorze, w pięknej, niemalże biblijnej scenerii, kilku pastorów obsługiwało do chrztu nawróconym uczestnikom konferencji. Niektórzy przyjechali do Østerbo specjalnie po to, by dać się ochrzcić.

Normalnie – tak w Polsce, jak i w Norwegii – ludzie najpierw trafiają do naszych chrześcijańskich punktów konsultacyjnych, a za ich pośrednictwem do ośrodków i tam przechodzą terapię. Zwykle w trakcie terapii podejmują decyzję o zawierzeniu swego życia Jezusowi, a po jakimś czasie przyjmują chrzest wiary przez zanurzenie. W Østerbo przekonaliśmy się, że może być zupełnie inaczej. Tak było z narkomanem, który tego dnia trafił ośrodek, nawrócił się i od razu przyjął chrzest. Dyrektor Ole Holmen opowiadał później:

– Zadzwoił telefon. Zgłosił się młody narkoman i pytał, czy mamy wolne miejsce. Początkowo chciałem odmówić. Przecież mamy tyle pracy, konferencję... Jednak usłyszałem wewnętrzny głos, który przypominał mi, że przecież po to tu jesteśmy. Chłopak przyjechał do Østerbo w sobotę, trafił na poranne nabożeństwo, gdzie odpowiedział na wezwanie do nawrócenia. Tego samego dnia przyjął chrzest i dopiero wówczas został odesłany do jednego z punktów kontaktowych, by dopełnić wszystkich formalności związanych z przyjęciem do ośrodka.

Powrót na ulicę niczego nie zmienia

Czy takie świadectwa możliwe są tylko w Norwegii? Tajemnica skuteczności ośrodków Centrum Ewangelii zawarta jest w Ewangelii praktykowanej z prostotą serca. „Gdybyśmy zaczęli głosić jakieś metody zamiast Ewangelii, nie byłoby nas tutaj” – mówił podczas konferencji jeden z ewangelistów. Ludzie zmieniani są mocą Bożego Słowa. Oczywiście Centrum, podobnie jak inne chrześcijańskie ośrodki, ma regulaminy i program resocjalizacyjny, który bynajmniej nie ogranicza się do wezwania narkomanów czy alkoholików podczas nabożeństwa, by nawrócili się do Jezusa. Pacjenci w ośrodkach CE przechodzą terapię, pracują pod okiem wychowawców, uczą się w miejscowej Szkole Biblijnej i zdobywają zawody. Uczą się odpowiedzialności i dyscypliny.

– A co się dzieje, gdy rezydent notorycznie łamie regulaminy? W Polsce taki człowiek zostaje dyscyplinarnie wydalony z ośrodka – zapytaliśmy jednego z kierowników ośrodka.

– Powrót na ulicę niczego nie zmienia – usłyszeliśmy w odpowiedzi. Właśnie to podejście wyróżnia CE spośród wielu innych chrześcijańskich organizacji pomagających uzależnionym. Zawsze jest nadzieja na zmianę. Dopóki człowiek żyje, trzeba próbować. Pacjenci, którzy łamią regulamin, zostają cofnięci z powrotem do punktu kontaktowego i przeniesieni do innego ośrodka, ale jednak otrzymują kolejną szansę.

Jest to możliwe dzięki sprawnie działającemu systemowi pomocy. Bo trzeba pamiętać, że Centrum Ewangelii to nie jedna czy dwie placówki – jak u nas – ale sieć prężnie działających ośrodków i punktów kontaktowych, które mogą przyjmować ludzi pod całodobową opiekę. Tego życzylibyśmy sobie w Polsce. Przed nami jednak jeszcze daleka droga. Czasem bliscy jesteśmy zniechęcenia, chcemy rezygnować, gdy napotykamy trudności. A jednak jest to możliwe.

Uczymy się od siebie nawzajem

Już od wielu lat inspiracją działań „Nowej Nadziei” były doświadczenia skandynawskie. W początkowych latach istnienia nasza Misja intensywnie współpracowała ze szwedzką Fundacją Lewiego Pethrusa. Gdy w 2002 r. po raz pierwszy wybraliśmy się z wizytą do naszych norweskich przyjaciół z Centrum Ewangelii, na własne oczy przekonaliśmy się o rozmachu pracy prowadzonej wśród narkomanów i alkoholików w tym państwie, które ma niewiele ponad cztery miliony mieszkańców.

Kiedy w lipcu ubiegłego roku ponownie gościliśmy w Østerbo, nasz punkt widzenia zmienił się nieco. Ku swemu zaskoczeniu dowiedzieliśmy się, że w związku z trudną sytuacją ekonomiczną Centrum musiało zredukować liczbę ośrodków. Niektóre budynki trzeba było sprzedać, by utrzymać inne placówki. W niektórych ośrodkach zwiększono z kolei liczbę pacjentów, ponieważ zapotrzebowanie na pomoc jest takie samo jak wcześniej.

Nie wszystko zatem wygląda tak kolorowo. Rozmawiając z przywódcami CE, dowiadaliśmy się o problemach, z jakimi borykają się na co dzień. Im także brakuje wyszkolonych pracowników, profesjonalnie opracowanych programów terapeutycznych, które pomogą ludziom pokonać uzależnienie nie tylko od alkoholu, ale też od nikotyny. Wydaje nam się, że w pewnych dziedzinach mamy całkiem sporo do zaoferowania naszym norweskim braciom. Gdy żegnaliśmy się, byli bardzo zainteresowani naszym programem szkoleniowym i ofertą terapeutyczną dla osób uzależnionych od nikotyny. Ole Holmen, któremu jako gospodarzowi dziękowaliśmy za gościnę, wyraził tylko jedną prośbę: „Obiecacie, że zaprosicie nas do Polski!”

Lekcja chrześcijańskiej solidarności

Dla nas pobyt w Østerbo był lekcją pełnego determinacji, solidarnego poparcia, jakim norwescy chrześcijanie otoczyli Centrum. Zobaczyliśmy Norwegów, którzy pragną ocalić największą chrześcijańską organizację charytatywną w swoim kraju. Sensu istnienia CE bronił nie tylko pastorzy, kaznodzieje i znani politycy, ale – co chyba najważniejsze – podopieczni Centrum. Łatwo pisać o sukcesach. Codzienne życie CE jest jednak, jak się okazuje, zmaganiem się z szarą rzeczywistością. Być może jest im nieco łatwiej niż nam, Polakom. Bo to kraj protestancki, bo Kościół Zielonoświątkowy jest drugim co do wielkości wyznaniem w Norwegii, bo Norwegia jest krajem bogatym, a Norwedzy chętnie wspierają pracę misyjną. Ale i tutaj powstał kryzys, trzeba podejmować trudne decyzje o zamknięciu nieopłacalnych ośrodków, zmagać się z atakiem medialnym na przywódców. Mimo to Centrum Ewangelii nie narzeka, nie poddaje się, ale podczas dorocznej konferencji składa świadectwo o Bożej wierności i bije na alarm, który mają usłyszeć nie tylko zielonoświątkowcy, ale także luterańscy, katolicy i chrześcijanie innych wyznań.

diak. Piotr Karaś,
dyrektor Misji „Nowa Nadzieja”
Zdjęcia Jerzy Konieczny

- 1 L. Karlsen, J. Granly, *Jest jeszcze nadzieja* – zob. recenzja, „Chrześcijanin” 3-4/2003, s. 19.
- 2 *Jest jeszcze nadzieja*, s. 49.





Prezb. Kazimierz Sosulski

Prezbiter Okręgu Centralnego, pastor zboru w Pruszkowie. Ma 60 lat. Pochodzi z rodziny pastorskiej. Nawrócił się we wrześniu 1961 r., podczas ewangelizacji zorganizowanej przez I Zbór Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego w świątyni ewangelicko-reformowanej w Warszawie. Na ewangelizację zaprosił go jego późniejszy przyjaciel, Izaak Maksymowicz. Na gitarze akompaniował tam miejscowemu kwartetowi. W czerwcu 1962 r. przyjął chrzest wiary w rzece Wiśle, w Krakowie, w pobliżu Wawelu. Chrztu w Duchu Świętym doświadczył podczas modlitwy w gronie kilku przyjaciół w marcu 1963 r., w Warszawie. Swoje pierwsze kazanie wygłosił miesiąc później w I Zborze warszawskim, w którym przez okres studiów udzielał się w pracy młodzieżowej i katechetycznej. Latem tego samego roku zaczął usługiwać Słowem Bożym w innych zborach. Wraz z przyjaciółmi przez wiele lat organizował dla młodzieży wakacyjne kursy biblijno-umykalniczące, zimowiska i ewangelizacje.

Po ukończeniu Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej

w Warszawie (1966) powrócił do Krakowa, gdzie terminował u boku swego ojca, pastora. Jednocześnie był zapraszany do usługi przez inne zbory jako ewangelista. W marcu 1976 r. został ordynowany na prezbitera i wprowadzony w urząd pastora Zboru „Betlejem” w Krakowie. W listopadzie 1981 r. powołano go do Rady Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego z ramienia Chrzęścjan Wiary Ewangelicznej. Został prezbiterym opiekującym się zborami tego ugrupowania, należącymi do okręgu południowego. Na konstytucyjnym synodzie Kościoła Zielonoświątkowego 23 maja 1987 r. powołano go na zastępcę prezbitera naczelnego i powierzono agendy związane z duszpasterstwem i nauczaniem. Od września 1996 r. do października 2000 r. prezbiter Okręgu Wschodniego. Redaktor naczelny miesięcznika „Chrzęścjanin” (1992-2001). Wykładowca w Szkole Biblijnej ZKE i późniejszym Warszawskim Seminarium Teologicznym (1975-1996). Wieloletni członek Rady Programowej Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Akademickiego. W latach 1988-2000 członek Komitetu Europejskiej Wspólnoty Zielonoświątkowej. Od 2000 r. członek Rady Krajowej Aliansu Ewangelicznego w Polsce.

We wrześniu 1989 r. wraz z rodziną przeniósł się z Krakowa do Warszawy, a w roku 1991 zamieszkał w domu jednorodzinnym w Podkowie Leśnej. Rodzina: żona Ludmiła, z d. Rapanowicz, dyrektor Instytutu Wydawniczego „Agape”, dwie córki: Ewa i Joanna, troje wnucząt.

■ Słowo wytyczające drogę służby:

„Powiedz Panu drogę swoją, zaufaj mu, a On wszystko dobrze uczyni” (Ps 37,5).

■ Szczególnie pamiętne okoliczności kazania:

podczas mojego nawrócenia, gdy zostałem skonfrontowany ze Słowem: „Chrystus wykupił nas od przekleństwa zakonu, stawiając się za nas przekleństwem, gdyż napisano: Przeklęty każdy, który zawisł na drzewie” (Ga 3,13). Słowo Boże głosił wtedy Jack Wyrzen z USA. Na jego wezwanie: „Podziękuj Jezusowi za to, że umarł zamiast Ciebie”, w myślach zareagowałem hardością i gwałtownym sprzeciwem. Wtedy Duch Święty uświadomił mi moją grzeszność.

■ Ulubione tematy nauczania:

wewnętrzna przemiana i codzienne życie chrześcijanina.

■ Ulubiona pieśń:

„Wiem, nie zawiedzie mnie Pan”.

■ Najbliższa mi postać w Biblii to...

Jezus – mój Zbawiciel i Pan. Król Dawid – nauczył mnie właściwych życiowych postaw.

■ Duchowi mistrzowie, świadkowie wiary:

Apostoł Paweł ukształtował moją teologię. Moi rodzice, Władysław i Stanisława, przykładem swego bogobojnego życia i modlitwą spowodowali, że obrałem wąską drogę.

■ Najpilniejsza potrzeba Kościoła:

powrót ludzi wierzących do źródła, do Biblii.

■ Pasja:

muzyka chrześcijańska, teologia (dogmatyka i duszpasterstwo), majsterkowanie.

■ Zdarzyło mi się kiedyś, że...

w czasie udzielania ślubu dwóm parom naraz zapytałem pannę młodą: „Czy chcesz pojąć za żonę brata w Chrystusie Janusza Ksińskiego?” Oczywiście powtórzyłem to pytanie, już poprawnie.

■ Najtrudniejsze doświadczenie:

przez kilkanaście miesięcy musiałem znosić niesłuszne oskarżenie.

■ Największy sukces:

to, że z radością nadal mogę służyć Bogu i ludziom.

■ Największa porażka:

37 lat temu, powodowany strachem, zawiodłem Ducha Świętego, a to wiele mogło zmienić nie tylko w moim życiu.

■ Marzenia:

dzięki Bogu, niemal wszystkie już się ziściły! A to ostatnie? Aby w swego czasu usłyszał: „Dobrze, sługo dobry i wierny! Nad tym, co małe, byłeś wierny, wiele ci powierzę; wejdź do radości pana swego” (Mt 25,21).

■ Poczucie humoru w skali 1-5:

cztery.

■ Największa zaleta:

stałość, gdy chodzi o sprawy zasadnicze.

■ Największa wada:

łatwowierność.

■ Cechy ludzi, które drażnią najbardziej:

głupota i grubiaństwo.

■ Najbardziej cenię u innych:

życzliwość, prawdomówność i lojalność.

■ W wolnym czasie najchętniej:

odrabiam zaległości w czytaniu.

■ Ostatni urlop:

pierwszych kilkanaście dni ostatniego lipca nad Bałtykiem, w okolicach Międzyzdrojów. Z żoną, córkami i wnukami oraz szwagierką.

■ Żeby rozładować zmęczenie/stres:

jeśli jestem w domu, idę na dłuższy spacer z naszym wilczurem. Jeśli gdzieś indziej, staram się iść wcześniej spać.

■ Liczba wypijanych dziennie kaw:

jedna słaba i z mlekiem od czasu do czasu na śniadanie.

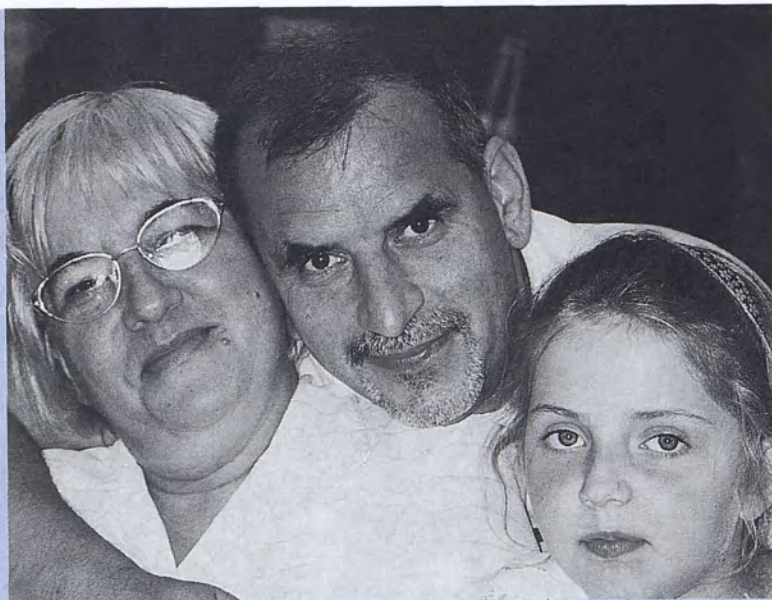
Gdyby Bóg powiedział dziś: „Proś o cokolwiek byś chciał”..., pomodliłbym się: „Panie, co Ty chcesz, abym teraz chciał”

Prezb. Ryszard Wołkiewicz

Członek Naczelnej Rady Kościoła, prezbiter okręgowy Okręgu Południowego (wybrany na II kadencję). Ma 50 lat. Nawrócił się jako szesnastolatek na obozie młodzieżowym w Rudce (woj. lubelskie). Pochodzi z rodziny wierzącej; dziadek i ojciec byli pastorami. Chrztyst przyjął w Bydgoszczy, w wieku 17 lat. Ordynowany na diakona w 1982 r., w 1988 r. na prezbitera.

W służbie kościelnej związany ze zborami w Zielonej Górze, Bydgoszczy, Jaworznie (duszpasterstwo młodzieży) i Katowicach (duszpasterz młodzieży, skarbnik, ewangelista, II pastor). Przewodniczy Komisji ds. Konferencji, jest dyrektorem Chrześcijańskiego Uniwersytetu „Vision”, rektorem Instytutu Biblijnego „Berea”, doradcą Biskupa.

Mieszka w Katowicach, w domu przyzborowym. Z wykształcenia elektroenergetyk, obecnie studiuje. Ostatnio pracował w Biurze Projektów, następnie w zborze. Ukończył Seminarium Teologiczne w Ustroniu i Ministry School w Teksasie (USA). Żona Stanisława, troje dzieci: Daniel (27), Małgorzata (23), Jakub (19); dwoje wnucząt: Marta i Michał.



■ Słowo wytyczające drogę służby:

„I poznał Dawid, że to Pan ustanowił go [...] ze względu na swój lud...” (2 Sm 5,12).

■ Szczególnie pamiętne okoliczności kazania:

—

■ Ulubione tematy nauczania:

małżeństwo, dary duchowe, rozwiązywanie problemów, osobowość chrześcijanina.

■ Ulubiona pieśń:

„Dzisiaj jest dzień, który dał nam Pan”.

■ Najbliższa mi postać w Biblii to...

Dawid, ponieważ był mężem według serca Bożego (por. Dz 13,22).

■ Duchowi mistrzowie, świadkowie wiary:

Sathu Sundar Sing, Karol Finney.

■ Najpilniejsza potrzeba Kościoła:

aktywna ewangelizacja, budowanie wizerunku Kościoła na zewnątrz.

■ Pasja:

książki, kazania, komputery.

■ Zdarzyło mi się, że...

—

■ Najtrudniejsze doświadczenie:

—

■ Największy sukces:

przede mną.

■ Największa porażka:

nie pamiętam.

■ Marzenia:

być pastorem zboru liczącego ponad 1000 osób i być w służbie razem z rodziną.

■ Poczucie humoru w skali 1-5:

5.

■ Największa zaleta:

optymizm i aktywność.

■ Największa wada:

brak cierpliwości.

■ Cechy ludzi, które drażnią najbardziej:

bierność, narzekanie.

■ Najbardziej cenię u innych:

inspiracja, stanowczość, przywództwo.

■ W wolnym czasie najchętniej:

uprawiam sport, pracuję na działce, czytam.

■ Ostatni urlop:

pierwszy raz po wielu latach z rodziną, nad Jez. Sławskim w 2003 r.

■ Żeby rozładować zmęczenie/stres...

biegam prawie codziennie, jeżdżę na rowerze, chodzę na basen.

■ Liczba wypijanych dziennie kaw:

średnio jedną, ale musi być ciastko i dobre towarzystwo.

■ Gdyby Bóg powiedział dziś:

„Proś o cokolwiek byś chciał”...

chciałbym być aktywny w służbie do końca, zachować trzeźwość umysłu i zdrowie do ostatniej chwili życia.



Gz niczego GOS

Niedzielne nabożeństwo, na którym mam okazję gościć w Żorach, rozpoczyna się podobnie jak w większości zielonoświątkowych zborów. Pastor w kilku ciepłych słowach wita wszystkich przybyłych. Modlitwa, śpiew. I można by już wygodnie usiąść w celu wysłuchania kazania, gdyby nie drobne zamieszanie spowodowane wyjściem grupki dzieci na przód sali.

Ich chwytający za serce występ kończy się apelem: ZOSTAŃ MISJONARZEM! I znowu wszystko to byłoby zupełnie normalne, gdyby nie fakt, że do wyjazdu na misję zachęcały zborowników dzieci z klubu środowiskowego.

Pole misyjne tuż za progiem

- Dzisiaj, po dwóch latach funkcjonowania, mamy swoje logo, nazwę, pomieszczenie i wielu przychylnych nam ludzi - mówi kierownik klubu Monika Grzesiek. - Kiedy spoglądam wstecz, mam wrażenie, że zrobiliśmy coś z niczego. Bo właśnie taki był początek. Oprócz wielkiego pragnienia, by pomóc dzieciom z ubogich rodzin, nie posiadaliśmy nic.

Na pierwszej stronie klubowej kroniki została zapisana następująca informacja: „2 stycznia 2002 roku z inicjatywy Kościoła Zielonoświątkowego, przy zachęcie Ośrodka Interwencji Kryzysowej oraz Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, rozpoczął działalność Klub Środowiskowy dla dzieci w Żorach”. Za tą krótką notatką kryje się olbrzymia praca wielu ludzi, zaangażowanych sercem i ciałem.

Służbę wśród dzieci z ubogich rodzin zbor w Żorach rozpoczął już ponad 10 lat temu. Inspiracją był przyjazd Australijczyków, którzy pokazali grupce zapaleńców, jak można prowadzić Kluby Dobrej Nowiny. Spotkania odbywały się w każdą sobotę i przychodziło na nie około dwadzieścioro dzieci. Przełomowym momentem okazał się rok 2001.

Monika tak wspomina tamten okres:

- To było jesienią. Na sobotnich spotkaniach zaczęli pojawiać się trzej chłopcy, bardzo zaniebani i głodni. Nikt się nimi nie interesował. Często widziałam ich wędrujących się po rynku. Gdy zaczęłam baczniej się zglądać, zobaczyłam, że takich dzieci jest dużo więcej.

- W tamtym czasie wraz z mężem rozważaliśmy kwestię mojego powrotu do pracy. Zaczęłam się modlić i wtedy Bóg pokazał mi, jak wiele jest do zrobienia, jednak nie w moim zawodzie, a na żorskich ulicach. Skontaktowałam się z Agnieszką Reszką z misji Teen Challenge i ona pomogła mi wszystko zorganizować. Do dzisiaj ściśle współpracujemy, ale wtedy jej rady i doświadczenie okazywały się nieocenione. To Agnieszka uczyła mnie pisać pierwsze wnioski do instytucji państwowych. Podpowiadała, w jaki sposób starać się o dofinansowanie. Akceptację władz miasta i środowiska zyskaliśmy bez problemu, dużo gorzej było z finansami.

Poznają ich po owocach

Jak już wspomniano, klub zaczął działać w styczniu 2002 r. Odpowiedź z Urzędu Miasta dotycząca finansów przyszła dopiero w lutym i zawierała odmowę przydzielenia etatów na zatrudnienie stałych pracowników. Jednak dla tych, którzy kilka razy w tygodniu spotykali się w klubie z dziećmi, nie miało to już znaczenia. Nie mogli ani nie chcieli się wycofać. Razem z pastorem powzięli postanowienie, że niezależnie od decyzji władz klub będzie otwarty codziennie. Dzięki pomocy finansowej zborowników oraz sponsorów możliwe było prowadzenie zajęć przez rok. Po roku funk-

cjonowania, kiedy władze miasta zobaczyły efekty tej działalności, postanowiły przekazać pieniądze na zatrudnienie stałego pracownika.

Dzisiaj personel świetlicy to około 30 osób, których nie sposób wymienić tutaj nawet z imienia. 95% z nich to w dalszym ciągu wolontariusze. Przychodzą pomagać wszyscy pragnący służyć wśród dzieci. Młodzież i dorośli ze zboru „Elim”, w którego budynku mieści się klub, a także zaprzyjaźnione osoby ze zboru Wolnych Chrześcijań.

Obecnie miasto przeznacza regularne dotacje na pracę świetlicy. Nie są to duże sumy, ale razem z tym, co ofiarowują sponsorzy i zbor, można każdego dnia przygotować dla dzieci posiłek, kupić przybory do prac ręcznych czy akcesoria sportowe.

Niedźwiedzie machały rękami

Również klubowiczom nie brakuje pomysłów na zdobywanie funduszy. Na przykład we wrześniu 2002 r. postanowili, że sami zarobią pieniądze na wycieczkę do ZOO. Przez kilka dni sprzedawali talerzyki i kubeczki, pomalowane w różnokolorowe wzory. Nie było ustalonej ceny, każdy kupujący wrzucał do skarbonki, ile serce mu podpowiadało. Po podliczeniu okazało się, że dzieci zebrały pokaźną sumę 912 zł.

Na jednej ze stron barwnej kroniki klubowej można przeczytać wspomnienia z tej wycieczki. Ktoś napisał: „Najbardziej podobały mi się żyrafy i niedźwiedzie brunatne dlatego, że żyrafy jadły mi z ręki, a niedźwiedzie brunatne dlatego, że machały rękami”.

Dzięki ofiarności sponsorów dzieci mogły również pojechać do Figolandii. Jak nietrudno się domyśleć, pobyt w krainie zabawy był dla wszystkich niezwykle przyjemnym przeżyciem. Oglądając zdjęcia, można zobaczyć szczerze roześmiane buzie. Dla sporej części dzieci była to jedyna możliwość wyjazdu i poznania czegoś więcej poza żorskimi ulicami. Gdyby nie przychodziło do klubu, być może nigdy nie miałyby okazji bawić się tak jak ich rówieśnicy z normalnych rodzin.

Środowisko

Kiedy pytam o środowisko, z jakiego pochodzą, w oczach Moniki pojawiają się łzy. Bardzo poruszona, opowiada nie o statystykach, ale o dzieciach. Zna każde z nich, potrafi wymienić jego problemy. Myślę sobie, że ta delikatna kobieta to właściwy człowiek na właściwym miejscu. Patrząc na nią i widząc, jak Boże powołanie zyskuje praktyczny wymiar.

Klub nazwali tak po prostu: „Na Rynku”, bo tam się znajduje i wśród dzieci stamtąd pracują. Większość podopiecznych pochodzi z rodzin zamieszkujących stare, czynszowe kamienice. Zajmują małe mieszkania, często bez dostępu do bieżącej wody. W budynkach panuje wilgoć, brakuje właściwie wszystkiego: dostępu do instalacji gazowej, ciepłej wody, sanitariaty znajdują się na zewnątrz i podzielone są między kilku użytkowników.

Obok złych warunków mieszkaniowych pojawiają się problemy znacznie gorsze. Większość dorosłych nadużywa alkoholu. W domach często dochodzi do awantur i bójek. Dziećmi z reguły opiekują się tylko matki, ojców w ogóle nie widać, jakby gdzieś przepadli. Sfrustrowani brakiem pracy i perspektyw na przyszłość, uciekają od codziennych wychowawczych obowiązków. W rodzinach wielodzietnych starsze rodzeństwo zajmuje się młodszymi i dlatego zdarza się, że pięciolatek przyprowadza do klubu swojego dwuletniego brata lub siostrę. Zaniedbania ze strony rodziców dotyczą nie





tylko sfer higieny czy odżywiania, ale również emocjonalnego rozwoju dzieci. Wiele z nich ma problemy w wystawianiu się, okazywaniu uczuć, funkcjonowaniu w grupie.

Relacje i zależności międzyludzkie w takich środowiskach są bardzo zagmatwane. Częste zmiany partnerów, rozwody, życie w konkubinacie doprowadza do sytuacji, że pod jednym dachem, w jednym pokoju żyją „dzieci moje, twoje i nasze”. Nietrudno wywnioskować, jak wypaczony staje się wówczas obraz rodziny.

Dorastanie w takich warunkach powoduje bierność i negatywne spojrzenie na to, co może przynieść kolejny dzień. Dlatego każde spotkanie z dziećmi staje się dla personelu klubu wielkim wyzwaniem. Jak zaspokoić tak liczne potrzeby, kiedy ma się do dyspozycji tylko dwie godziny w ciągu dnia?

Pokaż mi Boga w sobie

No właśnie, czy w ogóle warto podejmować się takiej pracy? – pytam Monikę.

– Jak to? Oczywiście, że warto. To nie jest praca, którą można zmierzyć, policzyć i wypłacić pieniądze. Jednak my wiedzieliśmy, na co się decydujemy. Podejmując się pracy z dziećmi, zawsze trzeba założyć długie oczekiwanie na efekty. Naszym celem nie jest przeprowadzenie zielonoświątkowej „indiktrynacji”, lecz pokazanie tym maluchom, że mają szansę na inne, lepsze życie. Każdego dnia przed posiłkiem wspólnie się modlimy, raz w tygodniu przychodzi ciocia Marzenka Połec i opowiada dzieciom historie z Pisma Świętego. Potem uczymy się, jak stosować je w praktyce, co to znaczy kochać drugiego człowieka, pomagać bliźnim, szanować siebie i innych.

Na jednej z klubowych gazetek widnieje hasło: „Ciociu i wujku, pokaż mi Boga w sobie”. Robi wrażenie i w pełni oddaje sens pracy, jakiej podjęła się Monika wraz z całym zespołem.

Zabawa w psocenie

Świetlica otwarta jest od poniedziałku do piątku, od godziny 15.00 do 17.00. W sobotę dzieci chodzą na krytą pływalnię. Każdy dzień wypełniają gry, zabawy, robotki ręczne, śpiew i wiele innych ciekawych rzeczy. Czasami dzieci przygotowują przedstawienie, innym razem prowadzone są ćwiczenia ruchowe czy rytmy. Zapraszani są ciekawi goście, którzy opowiadają małym słuchaczom o swoim zawodzie, prowadzą pogadanki na temat szkodliwości narkotyków czy alkoholu. Do ulubionych zajęć dzieci należą „kuchenie” i zabawy na świeżym powietrzu. Kiedy tylko robi się ciepło, spotkania odbywają się przed budynkiem, czyli na miejskim rynku. Ściany klubu ozdobione są pracami dzieci. Aż trudno to opisać: jest kilkumetrowy obraz, plakat antynikotynowy, wycinanki, zdjęcia stałych bywalców klubu – wszystko kolorowe i wesołe.

W rogu sali, przy stole siedzi chłopiec. Pytam, jak ma na imię.

– Sebastian.

Nie jest zbyt rozmowny, ale próbuję jeszcze raz:

– Lubisz układać puzzle?

– No, lubię, jak nie mam nic ciekawszego do roboty.

Tej rozmowy już nie udaje mi się dokończyć, ponieważ za nogawkę ciągnie mnie Kasia.



– Chodź do mnie pod stół, będziemy się tutaj bawić w psocenie.

Psocenie to zabawa, która polega na szarpaniu innych za nogawki. Może nie jest to zbyt twórcze, ale pomaga mi zdobyć zaufanie Kasi i jej koleżanek. Potem jeszcze uczyłam się tkacki, kolorować, miałam zaszczyt podnosić Pawełkowi z podłogi ciągle spadające części układanki i robić wiele innych ciekawych rzeczy.

Kiedy do klubu wszedł Hugo, jeden z wolontariuszy, i rzucił się na ziemię, żeby dzieci mogły trochę po nim poskakać, zastanawiałam się, czy ja też mogłabym wziąć udział w tej zabawie. Muszę przyznać, że przebywanie z dziećmi bardzo dobrze wpłynęło na moje samopoczucie. A przecież wydawałoby się, że to ja powinnam im coś dać. No cóż, tak czasami bywa.

Na spotkanie przyszło również kilka mam, podobno coraz częściej zaczynają się pojawiać w klubie. Opiekunowie starają się zamienić chociaż kilka słów z każdą z nich. Jak twierdzi Monika, relacje z rodzicami to praca, która dopiero jest przed nimi. Pierwsze kroki zostały już poczynione, kiedy dzieci razem z opiekunami przygotowały uroczystość z okazji Dnia Matki. Na zaproszenie odpowiedziało dziewięć kobiet. Wyszły bardzo zadowolone i spokojne, że ich pociechy są w dobrych rękach.

Trzeba zrobić dużo kartek

Na świetlicowych regałach leżą różnego rodzaju gry, pudełka puzzli i wiele innych rzeczy pomocnych w prowadzeniu zajęć. To wszystko udało się zgromadzić dzięki ofiarności sponsorów. Praca, którą zbiór poprzez świetlicę prowadzi wśród dzieci, sprawiła, że wielu ludzi w mieście zaczęło tutejszych chrześcijan darzyć szacunkiem i przychylnością. Dzisiaj, kiedy klubowicze wykonują kartki z podziękowaniami, muszą ich przygotować około dwustu.

Wśród pomagających są przedsiębiorcy większych i mniejszych zakładów pracy, sklepikarze, hurtownicy, piekarze i wielu innych ludzi dobrej woli. To wszystko działa jak w trybach maszyny: kogoś Bóg pobudzi, by dać chleb, kogoś innego, by kupić dzieciom słodycze, jeszcze ktoś inny deklaruje, że może przewieźć podarowany towar. Pewnego razu zakłady cukrownicze położone sto kilometrów od Żor podarowały klubowi pięćdziesiąt kilogramów cukru. I wtedy pewien młody człowiek zdecydował, że on go przywiezie. Dzieła dokonał, udając się tam i z powrotem „na stopa”.

Przychylnie nastawione do pracy Kościoła są również instytucje państwowe. Lista tych, z którymi spotyka się Monika jako kierownik klubu, jest bardzo długa. Żeby chociaż w jakimś stopniu oddać rozmiar tej współpracy, można wymienić: Prezydenta i radnych Rady Miejskiej, Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, Ośrodek Interwencji Kryzysowej, Sejmik Wojewódzki, Miejski Wydział Edukacyjny, Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji, Komisję Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, kuratorium, sąd itd.

Pan Prezydent bawił się świetnie

Dowodem na zaufanie, jakim miasto obdarzyło zbiór „Elim”, może być chociażby prośba o poprowadzenie żorskich obchodów Dnia Dziecka. Na co dzień do klubu zaglądają dyrektorzy różnych ośrodków pracy społecznej i wszyscy wystawiają mu bardzo dobre opinie. Zaproszenia do świetlicy nie pominął również pan prezydent Waldemar Socha. Podobno bawił się świetnie i niechętnie rozstawał się z dziećmi.

List

do znużonych świętym życiem

Właściwie już czymś normalnym się stało, że miejscowe gazety drukują artykuły dotyczące pracy klubu i imprez w nim organizowanych. I chyba nie ma się czemu dziwić, skoro do świetlicy przychodzi ponad trzydzieścioro dzieci.

Pastor zboru Piotr Grzesiek z dumą opowiada o tym, jak jako Kościół mogą służyć swojemu miastu.

- Na początku wielu z nas tego nie rozumiało - przyznaje - ale dzisiaj widzi-
my, że Bóg włożył w nasze ręce olbrzymie narzędzie do siania Ewangelii. W ten sposób możemy mieć wpływ na życie ludzi i pokazywać im, jaki jest Bóg. Praca w klubie to również możliwość łamania stereotypów dotyczących tego, czym jest służba. Tam potrzebna jest każda para rąk. Zamiast pustych frazesów na temat usługiwania bliźniemu - trzeba po prostu wytrzeć dziecku nos, wyczyścić wykładzinę, na którą właśnie zwymiotował jakiś zbyt łakomy brzdąk, pozmywać talerze po posilku.

Trzeba mieć marzenia, by móc je spełniać

Przez wielkie okna do klubu zagląda-
ją zaciekawieni przechodnie. Dzieci zu-
pełnie się tym nie przejmują, chyba nic nie
jest w stanie przerwać tego sympatyczne-
go rozgardiaszu.

- Moniko, jakie masz marzenia? - py-
tam.

- Mam ich dużo: więcej większych
pomieszczeń, rozwój pracy z młodzieżą,
pieniądze na kolonie, by dzieci tak jak
w poprzednich latach mogły wyjechać
nad morze albo w góry, jeszcze więcej
współpracowników. Ale chyba moje naj-
większe pragnienie to możliwość prowa-
dzenia świetlicy, która byłaby czynna
przez cały dzień. Wiem, że w Żorach jest
jeszcze dużo potrzebujących dzieci. Bar-
dzo bym chciała, żeby rodziny tych dzieci
były przemienione przez Boga.

Na zakończenie niedzielnego wystę-
pu wszyscy obecni na nabożeństwie otrzy-
mują od dzieci podarunek. To wycięty
z kolorowej kartki jesienny listek z wypisa-
nymi odnośnikami biblijnymi. Kiedy wszy-
scy wertują Biblię, szukając swoich werse-
tów, ukradkiem spoglądam na siedzącą
za mną kobietę. Jest bardzo wzruszona,
okazuje się, że to mama jednego z klubo-
wych dzieci.

Julita Rachwalska

- razem z mężem Arkadiuszem,
pastorem zboru w Kościeliszynie
i liderem młodzieży w Okręgu Północnym,
działa w Radzie Krajowej Duszpasterstwa
Młodzieży. Kończy studia historyczne
na Uniwersytecie Gdańskim, ma 5-letniego
synka Bogusza.

Zdjęcia: **Kamil Kuczawski**,
pracownik Klubu

Ludzie urodzeni krótko przed drugą wojną światową
i po niej to ludzie, którym los nie szczędził razów, a je-
żeli dodać prześladowanie z powodu inności wyzna-
niowej, to nawet upływ czasu nie zaorze tych przy-
krych wspomnień. Nie chcę jednak wspominać bole-
snych chwil, lecz porównać nasze przeżycia z do-
świadczeniami postaci biblijnych, w szczególności
z brakiem odpowiedzi na modlitwę dobrze, według
nas, uzasadnioną. Kochali oni Boga tak, jak my Go ko-
chamy, a przecież dopuścić, by przeżywali dotkliwy
smutek, przygnębienie i wewnętrzne rozdarcie.

Czytelnym obrazem świętego życia są Zacha-
riasz i jego żona Elżbieta (Łk 1,5-25). Biblia mówi,
że oboje byli sprawiedliwi wobec Boga w swoim
nienagannym postępowaniu. Niewątpliwie jako
młode małżeństwo, stwierdziwszy, że Elżbieta jest
niepłodna, modlili się o syna. Ten okres ich poboż-
nego życia, i modlitwy, był bardzo długi: od młodo-
ści aż do podeszłego wieku.

Gdy w życiu Elżbiety był zwyczajny czas rodze-
nia dzieci, każda jej odpowiedź na nieme pytanie
w oczach męża, że i tym razem nie będą mieli dzie-
cka, wywoływała nie tylko u niej, ale i u Zachariasza
coraz głębszy i dotkliwszy smutek. Pamiętajmy też, że
Zachariasz jako kapłan zawsze wykonywał to, co by-
ło jego powinnością w służbie przed Panem, chociaż
w sercu nosił żal i smutek.

Jego spotkanie z aniołem przy ołtarzu kadzidła-
nym jest znamienne. Kadziło to biblijne wyobrażenie
oddawania chwały Bogu, a świątynia, miejsce skła-
dania ofiary, to obraz Bożej obecności. I pomyśleć,
że oto postarzały człowiek stoi tam z sercem zamknię-
tym i zbolalym ze względu na brak odpowiedzi na
modlitwę.

Ten obraz Zachariasza odzwierciedla i dziś
stan wielu pobożnych i szlachetnych chrześcijan,
znużonych świętym życiem. Do takiego znużenia
przyczynia się wiele życiowych sytuacji, np. złe re-
lacje w rodzinie, a także w zborze, cierpienia fi-
zyczne, wdowieństwo oraz - modlitwy bez odpo-
wiedzi. Bo przecież ludzie doświadczani przez te
trudności przynosili je wszystkie przed oblicze Ojca
i wiem, jak wielu zawiedzionych jest brakiem odpo-
wiedzi na swoją modlitwę.

Zachariasz nie był w stanie przyjąć pocieszenia,
uверить w Boże poselstwo, zapowiadające narodzi-
ny upragnionego syna. Odpowiedź, jakiej udzielił
aniołowi Bożemu, ujawnia, co nurtowało jego serce:
„Jestem stary, a żona moja w podeszłym wieku, po
czym więc to poznam?” - mówi z niedowierzaniem
i smutkiem.

Taki stan w niejednym zmęczonym sercu trwa od
lat. Mimo tylu wieków nic się bowiem nie zmieniło:
człowiek przeżywa to samo rozdarcie, jest pełen nie-
pokoju, odkąd utracił poczucie bezpieczeństwa, jakie
miał - nie będąc tego świadomy - w Edenie. Oczy-
wiście, są w życiu Bożych dzieci chwile radości, unie-
sienia i błogości, ale czy zawsze tak jest? „Przewlekłe
oczekiwanie sprawia sercu ból, lecz życzenie spełnio-
ne jest drzewem życia” - mówi Księga Przypowieści
(13,12). Długie wyczekiwanie sprawiało ból Zacha-
riaszowi i nam sprawia go również.

Ale w historii tej kryje się coś bardzo cennego:
i dla Zachariasza, i dla nas. Pan Bóg nie odrzucił Za-
chariasza. Nie powiedział: „Chciałem spełnić twoje
oczekiwanie, ale ty zgorzkniałeś i dziś nie nadajesz
się do niczego”. Niejeden współczesny Zachariasz
mógłby usłyszeć o sobie taką opinię nawet z ust bli-
skich mu ludzi. Jak to dobrze, że Pan Bóg nieraz my-
śli i postępuje z nami inaczej niż nasi bliźni.

Ale to nic, przyjacielu, ty wciąż jeszcze istniejesz
i jesteś w drodze. Więc musisz jeszcze iść dalej, by
uznać sens swojego istnienia - wobec Boga, wobec
innych i wobec siebie samego. Idź dalej, może jesz-
cze będzie ci dane chociaż raz stanąć na Górze
Przemienienia, abyś lepiej zrozumiał siebie samego
i tych, którzy mówią, że cię kochają. Abyś mógł wziąć
nieco świętości jak kiedyś, zejść na dół i nie potykać
się o byle co. Przypomnij sobie, jaki wtedy byłeś udu-
chowiony, jak czułeś się święty i silny, zdolny przeba-
czać i powiedzieć: „Przebacź!”. Przypomnij sobie
również, jak musiałeś zejść na dół i znalazłeś się na
drodze do Emaus ze swoim przygnębieniem i swoim
wątpieniem. „A myśmy się spodziewali...”

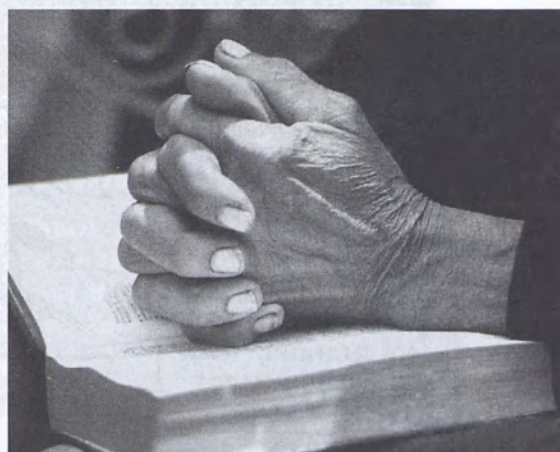
Zdobądź się zatem jeszcze na to, abyś umiał roz-
dawać uśmiech i życzliwość, bo kiedy stracisz miłość,
to pozostanie tylko troska o siebie, a kiedy u kresu dni
obejrzyś się wstecz, zauważysz, że niewiele wiesz
o życiu. Co zatem masz zrobić? Odpowiedź nasuwa
się tylko jedna. Wróć do siebie, zrzuć z siebie to, do
czegoś się przyzwyczaił, to, coś uznał za swoje, bo
po drugiej stronie nic z tego nie będzie przydatne.
Lecz abyś mógł to zrozumieć, musisz wejść w ciszę
i odkryć prawdę o sobie, o swoim niezadowoleniu
z siebie, a może i zagubieniu.

Eliasz nie znalazł ukojenia w potężnym wicherze
i trzęsieniu ziemi. Potrzebował cichego i łagodnego
powiewu, a gdy on nadszedł, Eliasz wyszedł z kry-
jówki i usłyszał swoje imię. Tego potrzebował czło-
wiek zmęczony upałem dnia i chłodem nocy.

Spróbuj zanurzyć się w Bożą ciszę, bo tylko ci-
sza jest balsamem dla zmęczonych świętym ży-
ciem. „Jedynie w Bogu jest uciszenie duszy mojej,
bo w nim pokładam nadzieję moją!” (Ps 62,6).

prezb. Czesław Budzyniak

- emerytowany pastor zboru w Gorlicach



URATOWANA

**Kiedyś
powiedziałam
komuś,
że modlitwa
i czytanie
Biblii
dosłownie
uratowały
mi życie.
Jak to się
stało?**

Był rok 1989, wrzesień. Miałam 18 lat, przede mną matura. A co za mną? Szczęśliwe dzieciństwo, spędzone w przyjaznej atmosferze mojego rodzinnego domu. Rodzice bardzo mnie kochali. Zawsze bardzo dobrze się uczyłam, ale nie należałam do kujanów zamkniętych w swoich czterech ścianach. Lubiłam towarzystwo, więc zawsze wokół mnie było dużo ludzi. Ponieważ pochodzę z bardzo tradycyjnej, religijnej rodziny, na msze chodziliśmy nie tylko w niedziele i święta. Rodzice jeździli na pielgrzymki, a ja chodziłam z pieszą pielgrzymką do Częstochowy. Skończyłam studium katechetyczne, przez rok byłam katechetką. Bardzo lubiłam te zajęcia z dziećmi. W tym czasie zakochałam się w wzajemnością w chłopaku, który nie pasował do mojego sielankowego otoczenia. Andrzej nie był katolikiem, za szkołę nie przepadał, a do tego bardzo, ale to bardzo nadużywał alkoholu.

Seans

We wrześniu 1989 r. z całą klasą wybraliśmy się na kilkudniową wycieczkę w Góry Świętokrzyskie. To miały być wspaniałe chwile wytchnienia przed wkuwaniem do matury. Wiem, że to, co teraz opiszę, może wydać się nieprawdopodobne, ale ja tego doświadczyłam na własnej skórze i duszy. Otóż w schronisku kilka osób postanowiło, że co wieczór będą wywoływać duchy. Zawsze stroniłam od tego typu rozrywek. Co mnie podkuśiło, aby w ostatnią noc przystąpić do tej grupki? Chciałam się dowiedzieć, czy Andrzej będzie moim mężem, bo rodzina robiła wszystko, aby nas rozdzielić.

Wybrałam się na seans. Siedzieliśmy przy stole. Zadawano różne pytania, talerzyk sam „chodził”. Ale

nie pamiętam, jaką odpowiedź otrzymałam, bo nagle zrobiło mi się słabo. Chłopcy otworzyli okno i wystawili mi głowę na świeże powietrze. Powoli doszłam do siebie. Towarzystwo się rozeszło, nazajutrz mieliśmy jeszcze zwiedzić jaskinię Raj i wracać do domu.

Bilety już wykupione. Czekamy w Kielcach na autobus, który zawiezie nas do jaskini. Wszyscy wsiadają, zaraz moja kolej. Nagle całe moje ciało zaczęło się trząść. To nie były dreszcze. Rzuciło mną, jakbym miała padaczkę. Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przydarzyło. Zawsze byłam zdrowa... Ludzie się rozstąpili. Położono mnie na ławce i wezwano pogotowie, które zabrało mnie do kliniki. Tam zrobiono mi wszystkie badania, podłączono mnie pod kroplówkę, ale co jakiś czas napady się powtarzały.

Pod koniec dnia przyjechała po mnie wychowawczyni. Nie chciała mnie zostawić w szpitalu na drugim końcu Polski, więc dano mi leki uspokajające i pozwolono pod opieką wracać do domu. Klasa czekała na dworcu PKP. Koledzy przywitani mnie serdecznie, ale ja znowu poczułam, że coś się ze mną dzieje. Znowu zaczęło mną rzucać. Zbiegli się gapie. Wsadzono mnie do taksówki i zawieziono na pogotowie. „Naszprycowana” środkami uspokajającymi, wróciłam na dworzec. Nie pamiętam, jak dotarłam do domu.

Koszmar

Po powrocie okazało się, że najgorsze było przede mną. Otóż zaczęła mnie bardzo boleć głowa. Był to ból nie do wytrzymania. Trafiłam do neurologa, a później do szpitala w Nowej Soli. Stamtąd odesłano mnie do psychiatry. A ja czułam się coraz gorzej, bo oprócz drgawek i bólu głowy dręczyło mnie pragnienie śmierci. To był koszmar. Coraz częściej miałam myśli samobójcze. Często widziałam siebie, jak wyskakuję przez okno lub wbijam sobie nóż w brzuch.

Antidotum na mój stan miały być silne środki uspokajające. Tyle tylko, że nic mi to nie pomagało. No, może byłam trochę mniej obecna... Ból głowy nie ustawał. Napady powtarzały się nagle, bez konkretnej przyczyny, a i moje wnętrze rozsypywało się na kawałki, z których każdy wołał o śmierć.

Andrzej bardzo martwił się moim stanem. Widział, jak cierpię i uzależniam się od leków. Pewnego wieczoru, kiedy odprowadzał mnie do domu, powiedział coś bardzo zaskakującego:

– Ula, ja Boga nie znam, ale wiem, że są ludzie, którzy się modlą i czytają Biblię, a Bóg odpowiada na ich wołanie. Tak cię proszę, zacznij czytać Biblię i modlić się do Jezusa, aby ci pomógł...

Jego dziadkowie i rodzice byli ludźmi, którzy przeżyli duchowe odrodzenie, i choć on sam żył z dala od Boga, to jednak znał życie swoich najbliższych. Nie wiem dlaczego, ale po powrocie do domu czu-



rys. Kordian

łam się tak, jakbym zobaczyła maleńkie światło nadziei. Odszukałam Nowy Testament i pierwszy raz w życiu otworzyłam go z zamiarem czytania. Ale nie było to zwykłe przerabianie kolejnej lektury. W swoim sercu podjęłam decyzję, że cokolwiek przeczytam w Piśmie Świętym, to zastosuję w moim życiu. Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że tak wiele zmian mnie czeka.

Biblia

Tak zaczęłam codzienne rozważanie Nowego Testamentu. Bardzo mnie to posilało. Chciałam pogłębić moją dotychczasową wiarę. Biblię wręcz chłonełam, aż mój tato zwracał mi uwagę, że wciąż czytam i czytam, a co z lekcjami... Nabierałam sił, przestała mnie boleć głowa, chciało mi się żyć! Wyrzuciłam wszystkie leki... i funkcjonowałam normalnie (tylko od czasu do czasu miewałam ataki, ale z tym dało się jakoś wytrzymać).

W tym czasie również codziennie się modliłam, ale nie było to nic nadzwyczajnego, ponieważ odkąd pamiętam, zawsze w domu modliliśmy się rano i wieczorem. Pewnego dnia jednak bardzo się rozczarowałam – całe moje dotychczasowe wyobrażenie Boga legło w gruzach. Płakałam i kłóciłam się w sercu ze wszystkimi dotychczasowymi opiekunami duchowymi, gdyż doszłam do ostatniej księgi w Nowym Testamencie i nie znalazłam ani słowa o tym, że Maria została cielesnie wzięta do nieba. Bardzo to przeżyłam, bo do tej pory większość moich modlitw była skierowana właśnie do niej. A jeżeli taki oczywisty fundament się zawalił, to co dalej? Biblia mówi: „Albowiem jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek Chrystus Jezus” (1 Tm 2,5). „Jeden” – to słowo długo brzmiało w moich uszach. Od tej pory Jezus został moim jedynym Pośrednikiem. Modliłam się tylko do Niego.

W tym czasie zdałam też sobie sprawę, że tutaj, na ziemi, decydujemy o tym, gdzie spędzimy wieczność. Wcześniej mówiłam sobie: „Najwyżej pójdę do czyśćca, a stamtąd przecież w końcu trafia się do nieba”. Jednak Słowo Boże mówi: „I poza tym wszystkim między nami a wami rozciąga się wielka przepaść, aby ci, którzy chcą stąd do was przejść, nie mogli, ani też stamtąd do nas nie mogli się przeprowadzić” (Łk 16,26). Cała ta przypowieść niesie przesłanie o dwóch miejscach. Ani słowa o trzecim miejscu – czyśćcu. Czyżby Jezus coś przed nami ukrywał? Długo to rozważałam. Szczególnie słowo „wieczność” – coś, co trwa bez końca. Zrozumiałam, jak ważne jest moje ziemskie życie, jaki może mieć wpływ na moją wieczność. Nie sto lat, dwieście czy tysiąc, lecz na zawsze...

Nowe życie

Zdałam maturę, wzięliśmy z Andrzejem ślub i wyprowadziliśmy się do Lubina. Mój mąż zaglądał w tygodniu do Chrześcijańskiej Wspólnoty Zielonoświątkowej, a ja jak zwykle chodziłam na msze. Urodziła się nasza pierwsza córka i po powrocie ze szpitala nie poznawałam mojego męża. On cały czas się cieszył, nie urządzał imprezy na cześć narodzin dziecka – tzn. imprezy alkoholowej – a do tego cały czas mówił o Jezusie. Okazało się, że w tym czasie

oddadł swoje życie Jezusowi Chrystusowi, stał się nowym człowiekiem. Powiedział mi także, że podjął decyzję i przyjmie chrzest wodny. Bardzo się z tego ucieszyłam, bo do tej pory myślałam sobie, że on taki biedny – nieochrzczony. Ale w głębi duszy zazdrościłam mu tej przemiany. Był taki radosny i pełen pokoju, że w końcu ja też podjęłam decyzję: więcej do kościoła nie pójść, nie będę się oszukiwać, nigdzie nie będę chodzić. Minął miesiąc, a mi było coraz ciężiej. Jednak nie można nigdzie nie chodzić...

Na dwa tygodnie przed chrztem Andrzeja wybrałam się z nim na niedzielne nabożeństwo. O tak, bardziej z ciekawości niż z przekonania. Kazanie było na temat Ducha Świętego. Wieczorem, gdy kładliśmy się spać, powiedziałam mężowi:

– Ten człowiek tak pięknie dzisiaj mówił o Duchu Świętym, ale ja bym tak bardzo chciała, żeby mi ktoś tak opowiedział o Jezusie. Ja wiem, że On umarł za cały świat, ale...

Wtedy Andrzej zaczął mi w prostych słowach tłumaczyć, że Jezus umarł także za mnie! Łzy płynęły mi strumieniami. Całe dotychczasowe życie zaczęło mi ciążyć, tak bardzo przygniatały mnie moje grzechy. Płakałam i mówiłam, że nie ma już dla mnie ratunku. Zaczęliśmy się wspólnie modlić, wyznawałam Bogu wszystkie grzechy. To była spowiedź z całego życia. Nagle otrzymałam od Jezusa niesamowitą radość i pokój. Kiedy wstałam z klęczek, moje pierwsze słowa brzmiały:

– Alleluja! Jezus żyje! Idę do chrztu.

Następny dzień był jakże inny od poprzednich. Byłam już nowym człowiekiem. Bardzo przeżywałam każdą pieśń, każdy werset z Biblii. We wtorek poszliśmy razem na nabożeństwo. Oświadczyłam starszym zboru, że za dwa tygodnie idę do chrztu. Ale oni wcale nie powiedzieli od razu: „Super!”. Długo rozmawialiśmy i modliliśmy się. Chcieli mieć pewność, że nie robię tego dla Andrzeja albo z jego nakazu. Ale ja wiedziałam, że narodziłam się na nowo!

Dzień przed chrztem dostałam wysokiej gorączki. Leżałam w łóżku i rozważałam, co będzie jutro. Wiedziałam, że moi rodzice nie przyjadą, bo oświadczyli mi to ze łzami w oczach. No właśnie... Może jednak powinnam zrezygnować, nie ranić mojej mamy i mojego taty. Wzięłam do ręki Biblię i otworzyłam na chybił trafił (dzisiaj raczej tak nie postępuję). Były to słowa, które przeszyły mnie na wskroś: „Kto miłuje ojca lub matkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien...” (Mt 10,37). Jezu, Ty wiesz, że Cię miłuję!

Niedziela 30 czerwca 1991 r. była najszczęśliwszym dniem w moim życiu. Wraz z Andrzejem przyjęliśmy chrzest wiary. Ale to przecież nie koniec. Wkrótce Jezus ochrzcił mnie Duchem Świętym, co objawiło się modlitwą w innych językach. Nie wiedziałam, że można mieć taką społeczność z Bogiem. Nie miałam już odtąd żadnego ataku. Moje ciało zostało całkowicie uwolnione, a moja dusza odnowiona. Od tamtej pory minęło ponad 10 lat. Dziękuję Ci, Jezu, że żyje!

Urszula Borsuk

– członkini zboru „Centrum Ewangelii” w Głogowie

R e k l a m a

Biblie Książki Muzyka

www.**(JACK)**.pl

tel. 033 854 44 44

43-450 Ustroń ul. 3 Maja 68



OFIARY DLA „CHRZEŚCIJANINA”

Anonimowym Ofiarodawcom ze Zboru „Betania” w Szczecinie, braciom **Dariuszowi Pomorskiemu** z Konina, **Jackowi Kuciowi** z Warszawy i **Zborowi w Zielonej Górze** oraz bratu **Bolesławowi Jeżowskiemu** z Warszawy serdecznie dziękujemy za ofiary na kupno redakcyjnego komputera. Bóg zapłać za Waszą pomoc!

Redakcja



Jeśli trzeba, używaj słów

Kiedy dwaj chłopcy, Eric i Dylan, weszli do szkolnej biblioteki, żeby zabijać swoich rówieśników – Cassie miała 17 i pół roku. Tego dnia stała się jednym z bohaterów wiary.

„Ci, którzy ufają Panu, są jak góra Syjon, która się nie chwieje, lecz trwa wiecznie” (Ps 125,1). Cassie Bernall z pewnością należała do tych ludzi. Była tylko dwa lata młodsza ode mnie dzisiaj, kiedy szkolny kolega, ogarnięty szaleństwem młody człowiek, zażądał od niej wyznania wiary. Ceną za wierność Panu, którą okazała, była śmierć.

Wiadomość o masakrze uczniów w szkole Columbine (Littleton, stan Kolorado) obiegła cały świat – nawet z odległej Afryki nadchodziły kondolencje od ludzi, których poruszyła bohaterka postawa dziewczyny. Patrząc z „ziemskiego” punktu widzenia, była to z pewnością ciekawa, ale pozbawiona sensu reakcja – narażać się świadomie na śmierć? Jednak zarówno ci Afrykańczycy, jak i my – wszyscy chrześcijanie, dostrzegamy w Cassie bohaterkę, dorównującą apostołom z I wieku po Chrystusie. Co sprawiło, że bez wahania poszła za Panem? Co takiego było w jej sercu, że nie bała się lufy karabinu przystawionej do skroni?

Odpowiedzi na te pytania odnajdziemy we wzruszającej, niezwyklej książce napisanej przez mamę Cassie, Misty, która ukazała się krótko po tragicznych wydarzeniach w Littleton. *Powiedziała: yes*¹ zawiera dokładny opis tego, co stało się 20 kwietnia 1999 r. w szkolnej bibliotece. Jednak najważniejsza część tej publikacji dotyczy całego życia zwykłej dziewczyny z małego miasteczka.

Cassie nie zawsze była „idealną córeczką”, jak można by sobie wyobrażać osobę ginącą za wiarę. Wręcz przeciwnie – był w jej życiu okres, kiedy znalazła się tak daleko od Boga i od rodziców, iż ci, zaniepokojeni, musieli zawiadomić policję. Cassie stała się ponurą, wyobcowaną nastolatką, która potrafiła krzyczeć, że się zabije, z którą kontakt praktycznie nie istniał. Zwykły „okres buntu”? A może coś więcej? Misty Bernall opisuje, co przez przypadek znalazła, szukając książki w pokoju córki: „W niektórych listach doradzano Cassie, żeby się nas pozbyła i w ten sposób rozwiązała swoje niezliczone problemy (...) list był zilustrowany okropnymi rysunkami dwójga osób (mama i tata), przebitych sztyletami, sterczącymi z ich serc. (...) Większość innych listów też zawierała rysunki przedstawiające noże albo przytaczała teksty zaklęć”. Rodzice Cassie domyślali się, że jej nowi przyjaciele powiązani byli z sektą satanistyczną, co wcale nie było radosnym odkryciem. Nie czekali więc ani

chwili, zareagowali natychmiast. To, co może się czasem wydawać okrutnym postępowaniem „tych beznadziejnych rodziców”, którzy „jak zwykle nic nie rozumieją”, w przypadku Cassie było (i w jakże wielu innych przypadkach jest...) wyrazem troski i ogromnej miłości.

Pomoc nadeszła w samą porę. Jednak to nie usilne starania państwa Bernall sprawiły cud. Cassie była odseparowana od dawnych przyjaciół, uczęszczała do nowej szkoły, ale wciąż buntowała się przeciw rodzicom, przyjętym przez nich wartościom i w głębi serca nie zmieniła przekonań (świadczą o tym np. rozmowy, które prowadziła z koleżankami). Prawdziwa odmiana dokonała się w jej życiu dopiero, kiedy napotkała na swej drodze ludzi z przykościelnej grupy młodzieżowej, którzy przyjęli ją do swojego grona z otwartymi ramionami.

Tu pozwolę sobie na małą dygresję. Na niedawnym spotkaniu młodzieżowym w naszym zborze padło pytanie: „po co właściwie są grupy młodzieżowe?”. No właśnie, po co? Odpowiedzi padały różne: „żeby służyć innym”, „żeby móc spędzać wesoło czas z innymi chrześcijanami”. Wszyscy jednak zgodziliśmy się, że jedną z najważniejszych funkcji grupy młodzieżowej jest dawanie wsparcia sobie nawzajem.

Właśnie to sprawiło, że Cassie szybko poczuła się jedną z nich, była akceptowana (choć nie jej dawne zainteresowania). Zaczęła dostrzegać w tych ludziach coś niezwykłego. Najpierw przychodziła z przymusu, później – z pragnienia. Pragnęła tego, co widziała w życiu znajomych: spokoju i światła. Pan to sprawił, że na zjeździe młodzieżowym w Górach Skalistych ta „nieprzystępna” dziewczyna, „trudny przypadek” (jak nazwał ją jej lider młodzieżowy), oddała życie Bogu. To był wielki cud i wielka zmiana. Ale to wcale nie oznaczało końca zmagania w jej życiu. Właściwie, był to dopiero początek.

Każdy, absolutnie każdy chrześcijanin (tak, nawet dorośli) przechodzi przez wiele problemów, pokuszeń i zwątpień. Tak, Dawid pisał: „na niwch zielonych pasie mnie...”, ale napisał też: „choćby nawet szedł ciemną doliną”! Cassie przechodziła przez wiele ciemnych dolin. Jedną z jej koleżanek wspomina: „Cassie i ja często rozmawialiśmy o tym, jak postrzegamy same siebie. Ona miewała z tym pewne problemy. Czasem martwiła się, że jest niezbyt ładna, mówiła, że musi się odchudzić (...). Ale nawet jeżeli o tym wszystkim myślała, nie pozwalała, żeby te myśli

ją opanowały. Zawsze oczekiwała, że Bóg pomoże jej się od nich uwolnić i być po prostu sobą. Cassie wciąż pokładała wiarę w Panu, chociaż napotykała w życiu wiele trudności. To właśnie owo pokonywanie przeszkód, mówienie „codziennego tak” (jak określił to jej pastor, David, w kazaniu na pogrzebie), dało jej siłę do zrobienia czegoś, co wymagało nadludzkiej odwagi, do powiedzenia „Tak”, które zakończyło jej ziemskie życie.

Nie zwiastowała wiele słowami. Choć dzieliła się z przyjaciółmi pewnymi przeżyciami, nie zalewała ich potokiem wyznań i świadectw. Wydaje się, że najbliższa jej sercu stała się zasada św. Franciszka z Asyżu: „Zwiastuj często, a jeśli to konieczne – używaj słów”. Świadectwem było jej życie i zmiana, jaka w nim zaszła.

Wyobrażamy sobie czasami, że jesteśmy zbyt przeciętni, żeby wykonać naprawdę wielkie dzieło dla Boga. „Tak, może ona. Ma w końcu bogatego tatę/duże mieszkanie/ferrari/inne »ważne« zalety. A ja nie”. A może mamy inny problem. Wiele złego stało się w naszym życiu, zanim się nawróciliśmy i czujemy się z tym naprawdę źle: „Nie, Bóg nie chciałby się posłużyć mną, bo w przeszłości...” albo: „Ja? Dla Boga? Wiesz, co ja jeszcze rok temu robiłem/robiłam? To niemożliwe”. Spójrzmy jednak na Cassie i na jej przykład. Lektura tej książki, świadectwo życia młodej dziewczyny, doda nam odwagi, aby stanąć przy naszym Panu, Bogu.

Na zakończenie chciałabym przytoczyć słowa, które są drogowskazem dla nas wszystkich, dla ciebie i dla mnie. „Podczas gdy większość z nas nigdy nie stanie w wymiarze realnym przed wyborem życie-lub-śmierć, by pójść za Panem, wszyscy prawie codziennie stajemy przed podobnymi wyborami w wymiarze duchowym. Odważna odpowiedź Cassie – proste słowo TAK – stanowi wyzwanie dla każdego z nas, by stawić czoła tym minimeczeństwom w nowym poczuciu sensu i posłuszeństwa”².

Krysia Chojnowska

– studentka pierwszego roku psychologii
Uniwersytetu Warszawskiego



Będąc w domu przyjaciół, miałam okazję usłyszeć płytę, która przykuła moją uwagę swoją oryginalnością i niepowtarzalną atmosferą, emanującą od pierwszych zasłyszanych taktów. Był to debiutancki album Hani pt. *Vision* (ang. wizja, objawienie), z interpretacjami znanych pieśni chrześcijańskich w nowoczesnym, instrumentalnym wykonaniu. Od pierwszej chwili otaczają nas eteryczne brzmienia, a etniczne motywy dodają energii i rytmiczności. Stare, klasyczne hymny dzięki nowej formie zyskują intrygujący wyraz.

Moją uwagę zwróciła zaskakująca interpretacja *Amazing Grace* (Cudowna Boża łaska). Szczególnie duże wrażenie robi jednak *I surrender all*, znana ze *Śpiewnika Pielgrzyma* jako *Wszystko Tobie dziś oddaję* – urzekająca piękną harmonią oraz ciepłym brzmieniem instrumentów smyczkowych. Aż szkoda, że na całej płycie jest ich tak mało.

Co ciekawe, płyta – choć jednorodna koncepcyjnie – nie jest jednak monotonna, dużo w niej pomysłów i intrygujących rozwiązań. Nastrój budowany jest konsekwentnie przez subtelą, niebanalną grę, ze smakiem wydobytą z instrumentów klawiszowych przez Pawła Zareckiego. Kłaniam się również Janowi Pilchowi, który stylowo i z wirtuozerią posłużył się bogatym zestawem instrumentów perkusyjnych. We wszystkich utworach króluje piękne, nastrojowe brzmienie fletu, którego walory z wrażliwością wydobyła oczywiście Hania. Nie sposób pominąć pozostałych wykonawców, których subtelna, pastelowa gra dodała koloru tym muzycznym obrazom. Mam na myśli również wokalistów, których ekspresja wiele wniósła w atmosferę tego muzycznego projektu.

Szczególnie cenne było dla mnie uzyskanie wrażenia specyficznej melancholii, dobrze pojętej prostoty i przestrzeni, które nie dla każdego słuchacza muszą być atutem. Autorzy pięknie malują muzyczne pejzaże, w których mogłam ujrzeć daleki horyzont, głęboko odetchnąć świeżym powietrzem, odpocząć od zgiełku, hałasu i nieustannego pędu. Ta muzyczna przestrzeń pozwoliła mi się wyciszyć, by wstąpić do siebie i skierować oczy ku Bogu.

Z pewnością jest to płyta dla ludzi wrażliwych, muzycznych i kochających nastrój. Sięgający po nią musi mieć jednak świadomość, że niewiele w niej elementów muzyki popularnej. Z zainteresowaniem będę obserwować, jak tego rodzaju płyta obroni się na współczesnym rynku muzycznym, gdzie króluje hip-hop.

Anna Bajak

– autorka jest muzykiem, kieruje Sienna Gospel Choir (zob. też s. 32)

¹ Misty Bernall: *Powiedziała: yes. Od satanizmu do śmierci za wiarę*. Przeł. Magdalena Rusiecka. Wyd. Espe, Kraków 2003.

² Słowa te przytacza w swojej poruszającej książce – dotyczącej tych samych wydarzeń – Michael W. Smith, chrześcijański wokalista, poproszony przez rodzinę Cassie o udział w nabożeństwie żałobnym. Książki *This is your time* nie ma jeszcze, niestety, w sprzedaży w Polsce, ale powinno to zostać wkrótce naprawione. Uważam, że każdy powinien ją przeczytać i zastanowić się nad czasem, jaki otrzymaliśmy na tej ziemi.



Pastorowa Eugenia Rapanowicz

Eugenia Rapanowicz (z domu Gonczar) urodziła się 17 grudnia 1916 r. na Wileńszczyźnie, w miejscowości Kłowsie. Nawróciła się i przyjęła chrzest wiary, mając lat 14. Wraz z rodzicami należała do zielonoświątkowego zboru znajdującego się w jej rodzinnej miejscowości, któremu przewodził Teodor Rakiecki. Od samego początku była członkinią zborowego chóru, który swoje próby rozpoczynał zwykle od czytania Słowa Bożego i modlitwy, a usługiwał ewangelizacyjnie czasem w dość odległych miejscowościach. Były to czasy, gdy odległości często pokonywano pieszo. Siostra Eugenia z radością uczestniczyła w tych misyjnych wyprawach i z radością je nieraz wspominała w rodzinnym gronie.

W roku 1934 została żoną Aleksandra Rapanowicza, nawróconego od czterech lat brata, pracującego w Szkółce Niedzielnej i wśród młodzieży, któremu powierzono też pracę ewangelisty w okręgu wileńskim. W czasie okupacji małżonkowie mieszkali w Wilejce, a po zakończeniu wojny, gdy te tereny weszły w skład Związku Radzieckiego, postanowili opuścić rodzinną ziemię, ponieważ zakosztowali już „opiekę” sowieckiej władzy. W roku 1946, mimo przeszkód ze strony NKWD, udało im się wraz z innymi repatriantami wyjechać do Polski. Krótkim przystankiem w tej wędrówce był Stargard Szczeciński, do którego przybyli w kwietniu 1946 r. Od stycznia 1947 r. siostra Eugenia wraz z mężem i czwórką dzieci, którą Pan ich do tego czasu obdarzył (piąte dziecko – najmłodsza córka – urodziło się dużo później), zamieszkała w Szczecinie. Ponieważ od września tego samego roku jej mąż był już pastorem Zboru Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w tym mieście – taka była wtedy organizacyjna nazwa dużej części polskich zielonoświątkowców – uczestniczyła także w tej służbie. W roku 1949, po otrzymaniu przez Rapanowiczów w roku poprzednim sporego mieszkania przy ulicy Kaszubskiej 18/2, jeden z większych pokoi adaptowano na kaplicę zborową i w sierpniu nastąpiło jej otwarcie.

Jednak już w roku 1950 siostra Eugenia została z dziećmi na 7 i pół miesiąca sama, ponieważ męża aresztował Urząd Bezpieczeństwa. To wydarzenie było częścią ogólnej akcji władz przeciwko zborom ewangelicznym i ich przywódcom (a jak wiemy z historii, również przeciwko innym „wrogom Polski Ludowej”), których przetrzymywano pod byle pretekstem. Brat Aleksander wiele czasu spędził w karcerze, w małej celi, po szyję zanurzony w zimnej wodzie, ponieważ nie przyznawał się – wszak nie miał do czego – do wrogiej wobec państwa działalności. W końcu, mimo braku jakichkolwiek podstaw, otrzymał wyrok skazujący równy czasowi aresztu. W roku 1956, zaraz po słynnym Październiku, wystąpił o rehabilitację, ale Prokuratura Wojewódzka odpowiedziała odmownie, powołując się na amnestię.

Wraz z aresztowaniem pastora zamknięto także kaplicę, a ponieważ był to pokój przejściowy w jego mieszkaniu, zsunięto całe wyposażenie (wraz z pianinem stanowiącym własność prywatną) do jednego z pokoi i zaplombowano go. Taki stan trwał ponad rok, a więc nawet po zwolnieniu pastora z aresztu, w związku z czym najstarsza córka, uczęszczająca do szkoły muzycznej, nie miała jak ćwiczyć. Związane z aresztowaniem męża cierpienia, m.in. troska o byt rodziny, były więc próbą wiary dla siostry Eugenii. Aż do końca dni życia i służby swego męża – pastora, cenionego w zborach nauczyciela, duszpasterza i kaznodziei, pełniącego przy tym ważne funkcje w Kościele, co wiązało się z wieloma wyjazdami – wspierała go w jego pracy. Prowadziła dom otwarty dla wielu potrzebujących braci i sióstr, którzy zawsze znajdowali w nim życzliwe przyjęcie i stosowną pomoc w postaci noclegu, posiłku, poświęconego gościom czasu, często kosztem jej zdrowia i odpoczynku. Jest wiele osób w kraju i za granicą, które wspominają z wdzięcznością ogromną życzliwość siostry Eugenii, jej gościnność, wręcz matczyną troskę, a także poczucie humoru i budzące sympatię usposobienie.

Zdawała sobie sprawę, że jej wędrówka się kończy. Gdy około dwóch tygodni przed śmiercią odwiedzili ją starsi zboru z Wieczerzą Pańską, powiedziała, że widzą się po raz ostatni. Dużo wcześniej – kilka miesięcy przed odejściem – opowiadała córkom, że pewnego razu zaraz po obudzeniu widziała białą postać, co nie wzbudziło w niej lęku, ale raczej dało poczucie bezpieczeństwa i pokój. Powiedziała: „Widziałam swojego anioła”.

Siostra Eugenia miała ładny alt i chętnie śpiewała pieśni na chwałę Bogu. Występowała np. w duetach i przez długie lata była jednym z filarów chóru szczecińskiego zboru. Również w ostatnich dwóch miesiącach życia, gdy już opuszczały ją siły, wspominała pieśni z czasów swej młodości i je nuciła. Chętnie słuchała też różnych nagrań. Odeszła do Pana wieczorem 30 października 2003 r., przy dźwiękach pieśni *Chwała, chwała, Barankowi cześć!*

* * *

6 listopada, w słoneczny, jesienny dzień, s. Eugenię Rapanowicz żegnało – wraz z Rodziną – liczne grono sióstr i braci ze zboru „Betania”, którego Pastorowa Eugenia była członkinią-założycielką z najdłuższym stażem wiary, ze zboru „Betezda” w Szczecinie, z Gryfina i Stargardu Szczecińskiego oraz znajomi i sąsiedzi. Nabożeństwo w kaplicy głównej szczecińskiego Cmentarza Centralnego i nad grobem prowadził bp Mieczysław Czajko, pastor zboru „Betania”, wraz z przezb. Stefanem Archutowskim i diakonem Henrykiem Kowalińskim.

(red.)

**Drogocenna
jest w oczach
Pana śmierć
wiernych jego.
Ps 116,15**



Brat Marek Gizicki

28 czerwca 2003 r., w wypadku samochodowym w okolicach Lubinia zginął diakon Marek Gizicki, członek Rady Starszych zboru „Fildelfia” w Bielsku-Białej.

Diakon Marek Gizicki urodził się 29 maja 1961 r. w Bolestawcu. Bardzo wcześnie przyjął Jezusa Chrystusa jako swojego osobistego Zbawiciela, a wiarę w przebaczenie grzechów potwierdził 19 września 1976 r. chrztem wiary. 28 czerwca 1984 r. wstąpił w związek małżeński z siostrą Danielą Kajfosz. Bóg pobłogosławił ich małżeństwo trojgiem dzieci.

Brat Marek Gizicki służył najpierw Słowem Bożym w zborze w Bolestawcu, a następnie w Krzeszowicach k. Krakowa, gdzie został ordynowany na diakona Kościoła Zielonoświątkowego i powołany na kierownika Misji Chrześcijańskiej.

W roku 1998 przeprowadził się wraz z rodziną do Bielska-Białej, gdzie 23 grudnia 2001 r. został powołany do grona starszych zboru. Z ramienia Rady Starszych odpowiadał za służbę grupy uwielbiającej i chóru, nagłośnienie nabożeństw oraz zbieranie kolekty.

Pogrzeb Brata Marka odbył się 8 lipca ub.r. Nabożeństwo żałobne prowadził prezb. Edward Lorek, a Słowem Bożym służyli zaproszeni członkowie Naczelnej Rady Kościoła: prezbiterzy Kazimierz Sosulski i Ryszard Wolkiewicz, oraz pastor zboru w Ustroniu, prezb. Andrzej Luber.

Brat Marek Gizicki pozostanie w naszej pamięci jako człowiek zawsze uśmiechnięty, optymistycznie nastawiony do życia, chętny do udzielania pomocy potrzebującym i przyjazny ludziom. Żegnaliśmy go z żalem, ale zarazem z nadzieją na spotkanie w domu naszego Ojca.

Pastor i Rada Starszych

Ogień Ducha Świętego w Kościele



Pastorzy potrzebują siebie nawzajem. Potrzebują wspólnych modlitw, rozmów, wymiany doświadczeń. Czas spędzony razem na krystalizowaniu wizji pracy zborów, rozwoju całego Kościoła jest bezcenny.

Pastorskie konferencje wychodzą tym potrzebom naprzeciw. Ostatnia odbyła się w dniach 11-13 września 2003 r. w Ośrodku Fundacji „Proem” w Zakościelu. Jej temat zdeterminował wszystko: kazania, warsztaty, modlitwy, rozmowy i całą atmosferę spotkania. „Ogień Ducha Świętego w Kościele” to przecież sprawa tak bliska zielonoświątkowcom, choć często dziś abstrakcyjna w praktyce życia zborowego. To problem, ale też wyzwanie.

Nic by się jednak nie stało, gdyby nie prawda Bożego Słowa. To w jej świetle należało zweryfikować nasze postawy, wartości, zaniedbania. O mocy Ewangelii, o Duchu Świętym i Jego działaniu w Kościele zwiastowali zaproszeni goście: pastorzy Sidney Watson (USA) i Uwe Schäfer (Niemcy). Nasza służba w Duchu Świętym została przyrównana w kazaniu drugiego z nich do jazdy szybkim, sportowym samochodem. Jego silnik ma wielką moc, ale by samochód ruszył i wykorzystał tę moc – potrzeba paliwa. Żeby jednak poruszać się nim bezpiecznie i pewnie, niezbędne są także sprawna kierownica i sprawne hamulce. Ta bardzo plastycznie przedstawiona ilustracja odzwierciedlała organiczną prawdę Słowa Bożego, iż Duch Święty jest „Duchem mocy, miłości i powściągliwości”, inaczej mówiąc: trzeźwego myślenia, samokontroli, dyscypliny (2 Tm 1,7). Pominiecie któregośkolwiek z tych aspektów sprawia, że nasza służba bądź nie jest pełna, a przez to nieskuteczna, bądź wręcz wyrządza szkody.

Podczas konferencji odbyły się po raz pierwszy warsztaty, zorganizowane równolegle: „Jak w sposób ciągły pielęgnować przeżycia zielonoświątkowe w lokalnym zborze?”, „Jak znaleźć, przygotować i usamodzielnąć swoich następców do służby w lokalnym zborze?” oraz „Gorliwość w trosce o powierzonych nam ludzi – duszpasterskie wyzwania w służbie lokalnego zboru w XXI wieku”. Zagadnienia te wzbudziły bardzo duże zainteresowanie pastorów, którzy nierzadko musieli dokonać trudnego wyboru, nie mogąc uczestniczyć we wszystkich jednocześnie. Dlatego wnioski z warsztatowych dyskusji zaprezentowano na forum plenarnym. Dodawały one zachęty, pobudzały do pokuty, powodowały przełom w spojrzeniu na służbę współczesnego pastora. Modlitwa, w której pastory przepraszali Pana za zepchnięcie przeżyć i praktyk zielonoświątkowych na dalszy plan, była chyba jednym z ważniejszych wydarzeń zeszłorocznej konferencji.

Wśród gości znalazł się również przywódca Kościoła Zielonoświątkowego na Słowacji, bp Jan Lacho i jego zastępca Jan Liba. Biskup przedstawił pracę bratniego Kościoła, jego funkcjonowanie w społeczeństwie. Drzwi dla Ewangelii w szkołach i różnych instytucjach są tam otwarte i choć Kościół nie jest zbyt liczny, stara się wykorzystać możliwości, które daje mu Bóg.

Atmosferę spotkania budowały jednak nie tylko nabożeństwa czy warsztaty. Bardzo ważne jest pielęgnowanie kontaktów i przyjaźni między pastarami. W oderwaniu od codziennych obowiązków, długie rozmowy, spacer, wspólnie wypita kawa zbliżyły nas jeszcze bardziej.

Konferencja w Zakościelu miała określony cel. Cały Kościół, by być skutecznym w czynieniu ludzi uczniami Chrystusa, potrzebuje ognia Ducha Świętego. Bez niego będzie jedynie martwą instytucją. Czy udało się go na nowo rozniecić w sercach pastorów? Tak, ale trzeba go wciąż podsycać.

K. M.

Bóg Cię

szuka

Stanisławka, mała wieś położona niedaleko Derżbna, w powiecie człuchowskim, w połowie należy do gospodarzy, a jej drugą połowę stanowi tzw. część popegeerowska. Za tą nazwą kryje się bieda, bezrobocie, alkoholizm, brak nadziei. Ale nie tylko! To przecież także, i przede wszystkim, ludzie! Ludzie głodni Boga, którym brakowało wiedzy o Nim – o Jego miłości, którym obca była Boża dobroć. To o niej chcieliśmy opowiadać, jej doświadczać i nią się dzielić.

W dniach 4-9 sierpnia 2003 r. w Stanisławce odbyły się półkolonie zorganizowane przez zielonoświątkowy zbor „Samaria” w Człuchowie oraz sołtysa Zdzisława Marka. To on zaprosił nasz Kościół i zadbał o zaplecze materialne, finansowe i sprawy organizacyjne.

Hasło półkolonii, prowadzonych przez szesnast osobową grupę członków człuchowskiego zboru, brzmiało: „Bóg Cię szuka”. Było niezwykle trafne, bo jak się okazało, Bóg szukał zarówno dzieci ze Stanisławki i ich rodziców, jak i nas – organizatorów i wychowawców.

W półkoloniach oficjalnie brało udział 39 miejscowych dzieci, w praktyce jednak bywało ich znacznie więcej, i to nie tylko dzieci. W programie zajęć, które trwały od poniedziałku do soboty, w godz. 9.00 – 15.00, przewidziano wiele niespodzianek. Na początek odbyło się spotkanie z policjantem, który opowiadał o bezpiecznych wakacjach, a dodatkową atrakcją była jednodniowa wycieczka nad morze, do Łeby.

Codziennie dzieci i nastolatki, podzielone na trzy grupy wiekowe, miały różnorodne zajęcia plastyczne, muzyczno-teatralne, biblijne i sportowe. Piotr, Marcin, Paweł i niżej podpisany, też Marcin, byliśmy odpowiedzialni właśnie za sport. Wymyśliśmy więc i organizowaliśmy dzieciakom zabawy na świeżym powietrzu, a nagrodą za grę fair play były cukierki. Maluchy najbardziej lubiły przeciąganie liny i kolorowe balony, starszaki zaś – zabawy z piłką, „musztrę” oraz bieg przez wieś, podczas którego wszyscy śpiewaliśmy: „Jezus Chrystus Panem jest, cała Ziemia Jego jest...”. Zdumieni mieszkańcy otwierali okna, przyjaźnie nam machali. Wszyscy przejawiali żywe zainteresowanie tym, co działo się na ich terenie. Z tymi małymi rekrutami zdobyliśmy Stanisławkę. Do dziś w byłej szkole – skromnym budynku, w którym mieści się wiejska świetlica, a która gościła naszą ekipę – wisi plakat, który głosi: „Jezus Chrystus jest Panem i Zbawicielem – Stanisławka należy do Jezusa”.

O godz. 15.00 kończyły się zajęcia oficjalne. Nasza ekipa opuszczała teren szkoły, jednak czterech z nas zostawało na noc w świetlicy, aby pilnować sprzętu i po prostu odpocząć... Jednak już wkrótce okazało się, że Bóg miał inne plany. Otóż zaraz po 15.00 do nas czterech, czyli – jak to określili miejscowi – do dwóch przystojnych i dwóch emerytów (sam nie wiem, do której dwójki się zaliczam) – zaczynały schodzić się niepokonane i nieustraszone dzieciaki. Wtedy też ośmielili się przychodzić i dorośli. Zaglądali przez okna, prowokowali do rozmowy, po prostu chcieli być z nami, chcieli bawić się i rozmawiać, i dalej doświadczać Bożej dobroci.

Wreszcie poddaliśmy się. Pomodliliśmy się i... otworzyliśmy szeroko drzwi. Wynieśliśmy dwa duże głośniki i „zaatakowaliśmy” ich chrześcijańską muzyką. Graliśmy z nimi w siatkę, w nogę, bawiliśmy się też z najmłodszymi. Chcieliśmy okazać dzieciom zainteresowanie, dać zachętę, dobre słowo, troskę, okazać dobroć i do dobroci inspirować. Chcieliśmy posiać Boże Słowo, nadać życiu tych dzieci zupełnie nową jakość, zaświadczyć, że Bóg je kocha.

W tym wszystkim Duch Święty nas zaskoczył. We wtorek wieczorem dzieci same poprosiły o wspólną modlitwę wieczorną. Nam dwa razy nie trzeba było tego powtarzać. Od wtorku do piątku kończyliśmy zatem dzień wspólnymi modlitwami. Na tych spotkaniach śpiewaliśmy, uwielbialiśmy naszego Pana, Piotr i ja opowiadaliśmy o Jezusie. Dzieciaki chłoneły Boga.

Raz opowiadałem o Mojżeszu i jego misji. Jak trzeba było – byłem Mojżeszem lub ludem izraelskim, to znów faraonem albo ogniem spadającym z nieba, a nawet rydwanem egipskim. Dzieci słuchały z uwagą. Kiedy Piotr mówił, byłem przejęty słysząc, jak prosto i klarownie dzielił się tym, co przeżył z Bogiem. Poprosiliśmy brata Andrzeja Rolewicza, jednego z liderów w naszym zborze, by wieczorem podzielił się Słowem Bożym. Przyjechał i bardzo przejrzyście wykladał podstawy życia chrześcijańskiego.

Codziennie modliliśmy się o to, by „Duch Święty zstąpił i przemienił oblicze ziemi – tej ziemi”. Modliliśmy się za siebie nawzajem, chcieliśmy być otwarci na Bożą wolę i prowadzenie Ducha Świętego. Modliliśmy się za dzieci, czytaliśmy Słowo Boże, opowiadaliśmy im o Bogu, kończyliśmy wieczór modlitwą „Ojcze nasz”. Wszyscy w po-

czuciu wspólnoty opuszczali świetlicę i wracali do domów (przynajmniej taką mamy nadzieję). My zaś przygotowywaliśmy salę na dzień następny i... wcale nie chciało nam się spać.

Modliliśmy się i nie do końca rozumieliśmy, co się dzieje. Skąd te słowa? Skąd to pragnienie słuchania i modlitwy u dzieci? Skąd ten pokój w sercu i ogromne poczucie Bożej obecności? Otóż Bóg nas szukał, zgodnie z hasłem półkolonii. Szukał każdego: dzieci, ich rodziców i nas samych. Iza-jasz odważył się nawet powiedzieć: „Da-łem się znaleźć tym, którzy mnie nie szuka-li, objawiłem się tym, którzy o mnie nie py-tali” (Rz 10,20).

Podczas jednego z wieczornych spo-tkań – po wyjaśnieniu potrzeby nowego narodzenia i upewnieniu się, że dzieci chcą tego szczerze – piętnastoro z nich, w wieku od 5 do 17 lat, przeżyło narode-nie się na nowo, przyjęło Jezusa do serca. A razem z nimi jedna osoba dorosła, rodzic.

Po zakończeniu półkolonii nie zostawi-liśmy ich samych. Do końca sierpnia dojeżdżaliśmy do Stanisławki raz w tygodniu, by dalej głosić Boże Słowo, organizować dzieciom dobrą zabawę i opiekować się „nowo narodzonymi” niemowlętami w wie-rze. Dziś, z powodu ograniczonych możli-wości transportowych zboru, na niedzielne nabożeństwo do Człuchowa dojeżdża tyl-ko kilka osób. Pragnienie to wciąż zgłasza więcej sympatyków, jedna z dorosłych osób wspomniała o chrzcie... Zbór w Człuchowie modli się o większy środek trans-portu (bus?), który umożliwiłby dowożenie chętnych na nabożeństwa i działalność ewangelizacyjną.

Ja zaś także dziś składam Bogu dziek-czynienie za Jego ojcowską dobroć wobec uczestniczących w półkoloniach dzieci i ich rodziców oraz wobec nas, sióstr i braci w Kościele, za to, że kształtowała nas wszystkich i upodabniała do swego Syna, Jezusa Chrystusa.

Marcin Urbański
Zdjęcia Andrzej Rolewicz



Wiejskie Ewangelizacje Dzieci

Wyjazd na zeszłoroczne Wiejskie Ewangelizacje Dzieci był dla mnie niezwykłym przeżyciem. Kiedy przyjechaliśmy do jednej ze wsi niedaleko Elbląga, dzieci już na nas czekały. Z każdym dniem przychodziło ich coraz więcej. Spotkania były bardzo dobrze przygotowane, w prosty sposób przekazywaliśmy Dobrą Nowinę. Dzieci bardzo dobrze rozumiały przesłanie Ewangelii. Byłam zaskoczona tym, jak chętnie uczyły się na pamięć fragmentów Pisma Świętego. Mówiły one o Bożej miłości i śmierci Jezusa dla naszego zbawienia, które jest Bożym darem. W chwilach wolnych od zajęć spędzaliśmy razem czas, bawiąc się w świetlicy, na boisku, rozmawiając. To była bardzo ważna część naszej ewangelizacji.

Pewnego dnia podeszły do mnie trzy dziewczynki i jeden chłopiec. Zapytali, czy mogłabym się z nimi pomodlić o to, żeby Pan Jezus przebaczył ich grzechy, by zamieszkał w ich sercach. Oczywiście, modliliśmy się, a potem rozmawialiśmy o tej najważniejszej decyzji, którą podjęli. Jestem bardzo szczęśliwa i wdzięczna Bogu za to, że posłużył się mną, by przyprowadzić je do siebie. Czas pracy misyjnej na tej wsi na zawsze pozostanie w mojej pamięci i sercu.

Monika Cetera
– autorka ma 20 lat,
należy do zboru w Tczewie

■ Wiejskie Ewangelizacje Dzieci są częścią misyjnej pracy Chrześcijańskiego Stowarzyszenia „Miłość Edukacja Dojrzałość” z Ustronia (www.med.org.pl).



■ Jak informuje pastor Miron Paszun z Człuchowa, obecnie w Stanisławce co dwa tygodnie odbywają się spotkania grup domowych, także co dwa tygodnie osoby pragnące uczestniczyć w niedzielnym nabożeństwie dowożone są do zboru. Siostry i bracia w Człuchowie, zbudowani świadectwem Bożego działania w sercach ludzi, którym wiastowana jest Ewangelia, pragną dalej świadczyć o Bożej miłości, m.in. w ramach akcji „Gwiazdkowa Nie-spodzianka”. (red.)



Okręg Wschodni:

■ Odwiedziny Biskupa

Od 5 do 10 października ub.r. biskup naszego Kościoła, Mieczysław Czajko wraz z przebiterem okręgowym Władysławem Wigłaszem odwiedził zbory w dekanacie lubelskim Okręgu Wschodniego i spotkał się z ich pastorami i niektórymi Radami Starszych. Podróż rozpoczęła się od nabożeństwa w wiejskim zborze w Białopolu i dziękczynienia za zebrane plony. Wprowadzenie do modlitwy wygłosił p.o. pastora w Chełmie, brat Janusz Dworak, a Słowem Bożym nawiązującym do święta plonów podzielił się przeb. W. Wigłasz. Modlitwę dziękczynną za Bożą łaską i dobrodziejstwa wnieśli pastory okolicznych zborów wraz z biskupem.

W drugiej części nabożeństwa odbyła się ordynacja p.o. pastora Zenona Śliwy na diakona. W tym podwójnie radosnym zgromadzeniu uczestniczyli bracia i siostry z okolicznych zborów w Chełmie, Zamościu, Hniszowie i Siedliszczu. Wśród gości byli także wierni ze zboru baptystycznego w Chełmie i przyjeźdźni z kilku miejsc Polski. Na zakończenie nabożeństwa miała miejsce Wieczerza Pańska, którą poprowadził przebiter okręgowy wraz z pastorami wspomnianych zborów. Po uroczystości zebrani wzięli udział w zborowej agapie.

Podczas podróży po tej części Okręgu Wschodniego, bp M. Czajko usłużył jeszcze podczas nabożeństw w Lubartowie i zborze „Oaza” w Lublinie, gdzie zebrali się bracia i siostry z obu lubelskich zborów. Odbyły się także spotkania ze starszymi zborów w Chełmie, Białopolu, Międzyrzeczu Podlaskim i Lublinie, a także z pastorami w Hniszowie, Lubartowie, Lublinie, Siedliszczu oraz placówce we Włodawie. Był to błogosławiony czas nie tylko dla zborów, pastorów i starszych, ale także dla odwiedzających.



for. Igor Basaj

■ Białopole – ordynacja na diakona

W niedzielę 5 października, podczas nabożeństwa dziękczynnego z okazji święta plonów, jego uczestnicy byli świadkami ordynacji brata Zenona Śliwy na diakona naszego Kościoła. Słowem Bożym usługiwał bp M. Czajko, który też wraz z przebiterem okręgowym W. Wigłaszem poprowadził ordynację. Wydarzenie to było dla białopolskiego zboru powodem do radości również z tego względu, że jest to pierwsza ordynacja od 1989 r., kiedy to ordynowany został były pastor Czesław Uszyński.

Brat Zenon Śliwa, który od marca 2002 r. pełni obowiązki pastora w Białopolu, wychował się w rodzinie wierzącej. Narodził się na nowo i przyjął chrzest wiary w 1980 r., w Warszawie. Od roku 1982 prowadził śpiew w swoim zborze, a jako kaznodzieja Słowa Bożego usługuje od 1999 r. W 2001 r. rozpoczął naukę w Seminarium Teologicznym w Ustroniu, które ukończył z pozytywnym wynikiem, a egzamin na diakona zdał 20 września ub.r. Brat Zenon ożenił się w 1980 r. z siostrą Wiesławą Mazurek – mają troje dzieci: Dawida, Pawła i Agnieszkę.

■ Konferencja Okręgu Wschodniego

Okręg Wschodni zorganizował konferencję dla pastorów i duchownych z rodzinami oraz dla osób zaangażowanych w służbę Bogu: starszych zborów, liderów, kaznodziejów i katechetów. Odbyła się ona w dniach 31 października – 1 listopada w gościnnym zborze Ewangelicznej Wspólnoty Zielonoświątkowej w Woli Piotrowej.

Konferencję prowadził przebiter Okręgu Wschodniego wraz z wyznaczonymi pastorami. Wzięło w niej udział blisko 60 osób z Okręgu Wschodniego i około 20 z miejscowego i okolicznych zborów EWZ. Podczas pięciu sesji wykładowych przemawiali brat Norman Muhling z USA i jego żona Sharon. Brat Muhling jest sekretarzem Zborów Bożych (AoG) stanu Michigan i dyrektorem stanowej Misji Zagranicznej. Tematyka wykładów obejmowała takie zagadnienia jak: społeczność z Bogiem, współczucie, posłuszeństwo, podporządkowanie przywódcom, priorytety w służbie Bożej oraz dziecięcina. Dwie sesje wykładowe dla siostr poprowadziła Sharon Muhling. Oboje z mężem dzielili się także wieloma świadectwami ze swego życia.

W piątkowy wieczór odbyło się wspólne nabożeństwo, na które przybyli wierzący z okolicznych zborów. Prowadził je pastor miejscowego zboru, br. Czesław Wigłasz, a śpiewem usługiwał chór mieszany ze zborów EWZ. Po nabożeństwie, które zgromadziło około 350 uczestników, nasi goście modlili się z potrzebującymi osobami. Był to błogosławiony czas dla wszystkich obecnych.

Wraz z naszymi gośćmi, którzy uczestniczyli w konferencji na zaproszenie prezbitera okręgowego, podróżował mieszkający w Warszawie misjonarz Zborów Bożych, brat Richard McLane. Goście nasi usługiwali w niedzielę na nabożeństwach w Rzeszowie i Jarosławiu, a w poniedziałek głosili Słowo Boże na nabożeństwie w Zamościu oraz w Zakładzie Karnym, gdzie zostali bardzo ciepło przyjęci przez dyrektora i kierownika penitencjarnego. Podczas ich usługi w zborach modliliśmy się o kilka osób, które pragnęły oddać swe życie Panu Jezusowi.

Pomoc dla Adriana

Adrian Adamus ma 13 lat, urodził się z wadą wrodzoną oczu (małoocze), ma szczątkowe widzenie, posługuje się alfabetem braille. Ostatnio przeszedł ciężką operację jednego oka z powodu odklejenia się siatkówki.

Chłopiec jest uzdolniony muzycznie, uczy się gry na akordeonie w Państwowej Szkole Muzycznej. Od września 2003 r. jest uczniem tamtejszego gimnazjum. Szkoła nie ma przeszkolonych nauczycieli dla dzieci niewidomych i w związku z tym wymaga od Adriana komputera przenośnego oraz programów „EAR MASTER PRO 4” i „FINALE 2003”, potrzebnych do nauczania przedmiotów muzycznych. Sama szkoła ma problemy finansowe, nie może nawet zakupić potrzebnych instrumentów dla uczniów.

Rodzice Adriana są członkami zboru „Hosanna” w Częstochowie i czynnie uczestniczą w jego pracy. Adrian bierze aktywny udział w zajęciach katechetycznych, przejawia głęboką miłość do Boga i zaufanie w Jego pomoc. Rodziny nie stać na sprostanie wymaganiom szkoły Adriana. W porozumieniu z pastorem Tomaszem Kmiecikiem, braterstwo Adamusowie zwracają się z gorącą prośbą o pomoc w zakupie komputera przenośnego, który jest niezbędny w dalszym kształceniu ich syna.

Wymagania sprzętowe: RAM 256, procesor 1,8 GHz, dysk twardy 30 G; CD; monitor 17”.

Kościół Zielonoświątkowy Zbór „Hosanna”

PKO BP II O/CZĘSTOCHOWA, Nr 8910201664-105390329 z dopiskiem „dla Adriana”

Kontakt ze zborom „Hosanna” w Częstochowie:
tel. (+34) 324-69-70; pentahos@Jezus.pl

■ Kobieta również stworzył ich

Ach, my kobiety... Nam też czasami potrzebna jest odskocznia od codzienności, abyśmy mogły wzbić się w górę jak orły. Potrzeba nam czasami pokarmu duchowego, przygotowanego specjalnie dla zaspokojenia naszego duchowego głodu – usługi innych kobiet. Dlatego zostawiłyśmy nasze domy, aby przez jeden dzień mogły być budowane mądrością nie naszą, a naszych mężów.

Na I Okręgowej Konferencji Kobiety we Wrocławiu (4 listopada) każda z jej uczestniczek – a było nas około stu pięćdziesięciu – odebrała obfite Boże błogosławieństwo. Usługiwały nam siostry z Australii: Lorraine Evans, Wendy Megchelse, Linda Wedrat, Jan Best. Uczyliśmy się między innymi, jak kształtować i rozwijać swój chrześcijański charakter (2 P 1,1-15), aby stać się uczestni(cz)kami Bożej natury. Wiele z nas potrzebowało przypomnienia, że Bóg nie zostawił nas, byśmy byli zdani tylko na własne siły, ale wyposażył w swoją własną moc i zasiał w nas ziarna wszelkiej mądrości i pobożności, abyśmy mogły prowadzić obfite (czyli spełnione!) pod każdym względem życie. Dla Niego.

Pisząc te słowa szczególnie mocno wzięła sobie do serca wskazówki dotyczące powściągliwości – cnoty rozumianej jako umiejętność panowania nad emocjami, hamowania zbyt szybkiego w reakcjach języka oraz filtrowania myśli niezgodnych z kryteriami wytyczonymi w Flp 4,8. A pozostałych siedem cech? Tyle pracy!

Drogie siostry – i bracia! – czy kiedykolwiek zastanawialiście się, jakie mogą być związki między prowadzeniem domu (prasowanie, gotowanie, pranie itp.) a życiem chrześcijańskim? Siostra Lorraine nakreśliła tu fascynujące porównanie: przygotowanie serca dla Jezusa wygląda bardzo podobnie do przygotowywania pokoju gościnnego: wyrzucanie rzeczy niepotrzebnych, sprzątnięcie, przyozdabianie i... dbałość o to, aby ten nowy stan utrzymać.

Dzięki usłudze naszych sióstr mogłyśmy też uświadomić sobie wagę swoich codziennych zajęć i obowiązków w wypełnianiu naszego powołania. Mamy być nośnikami Bożej obecności w świecie pełnym beznadziei i rozpacz – do tego zadania potrzebne jest serce przygotowane w sposób opisany powyżej. A od jakości życia, jakie prowadzimy w domowym zaciszu, zależy los przyszłych pokoleń! Śpieszę tu dodać, że nawet jeśli popełniłaś jakieś błędy albo wydaje ci się, że nie jesteś nikim szczególnym, rola, jaką ograłasz w historii swojej rodziny, może być podobna do roli Rut – niegdyś obywatelki drugiej kategorii, która jednakże stała się prababką Dawida, albo Batszeby – niegdyś niewiernej żony, która jednak była również matką najmądrzejszego człowieka swojej epoki. (Bóg nie umieścił rodowodów w swoim Słowie po to, aby nas zanudzić!). Pamiętaj – ktoś musiał być babcią Billy'ego Grahama.

Nasi mężowie wspaniale spisali się pod naszą nieobecność: naczynia pozmywane, dzieci dopilnowane i położone spać. Dzięki temu my mogłyśmy zbliżyć się nieco do – osiągalnego przecież – ideału z Księgi Przypowieści 31: wzoru „kobiety cnót pełnej” (według przekładu NIV).

Agnieszka Bloch

foto: Sławomir Janiczak



Od lewej: W. Wigłusz, I. Utnicki, M. Łasak i B. Helbin

■ Podwójna ordynacja w Starachowicach

23 listopada 2003 r. w zborze „Betel”, w Starachowicach, odbyła się ordynacja Ireneusza Utnickiego i Mirosława Łasaka na diakonów KZ. Nabożeństwo prowadził pastor zboru, prezb. Bogusław Helbin, który towarzyszył przy modlitwie ordynacyjnej prezbiterowi okręgowemu Władysławowi Wigłuszowi. Takie wydarzenie jest znakiem umocnienia i stabilizacji prowadzonej w zborze pracy oraz wzmacnianiem więzi z Kościołem. Uroczyste nabożeństwo zakończyło się wręczeniem aktów ordynacji i Nowych Testamentów ordynowanym braciom oraz modlitwą o ich rodziny. Po nabożeństwie jego uczestnicy: duchowni z rodzinami i zborownicy, spędzili miły czas w społeczności przy stołach, które założyły siostry z miejscowego zboru.

Diakon Ireneusz Utnicki nawrócił się i przyjął chrzest wiary w 1997 r., a przygotowanie teologiczne uzyskał, kończąc w 1999 r. Krakowskie Seminarium Biblijne. Służbę kaznodziejską rozpoczął krótko po nawróceniu. W 2001 r. został powołany na starszego zboru, a rok później – na kandydata na diakona. Brat Ireneusz ma 46 lat, jest żonaty i ma trzy córki.

Diakon Mirosław Łasak nawrócił się w 1995 r., chrzest wiary przyjął rok później. Służbę kaznodziejską rozpoczął już w 1995 r., a w 2000 r. został kandydatem na diakona. Ukończył Krakowskie Seminarium Biblijne (1998) oraz Okręgową Szkołę Misyjną w Częstochowie (2002). Brat Mirosław jest kierownikiem Punktu Misyjnego KZ w Ostrowcu Świętokrzyskim, którym opiekuje się zbor starachowicki. Ma 32 lata, jest żonaty i ma dwie córki.

W. W.

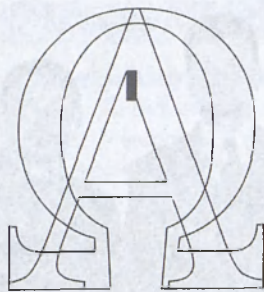
Wybory w Aliansie Ewangelicznym

18 listopada 2003 r. w Warszawie odbyło się II Zgromadzenie Aliansu Ewangelicznego w Polsce. Najważniejszym punktem programu Zgromadzenia, któremu przewodniczył prezb. Edward Czajko, było przyjęcie sprawozdań ustępującego kierownictwa z prezb. Henrykiem Rother-Sacewiczem na czele oraz wybór nowej Rady Krajowej i trzyosobowego prezydium.

W wyniku tajnego głosowania przewodniczącym Rady Krajowej na nową kadencję został prezb. Zdzisław Józefowicz (Kościół Zielonoświątkowy, Bydgoszcz), wiceprzewodniczącym – prezb. Andrzej Jeziernicki (Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, Kielce), a skarbnikiem na drugą kadencję – prezb. Leon Dziadkowiec (Kościół Ewangelicznych Chrześcijan, Szczecin). Nowy Sekretarz Generalny zostanie powołany – w myśl statutu – na pierwszym posiedzeniu nowo wybranej Rady Krajowej.

Alians Ewangeliczny powstał w 2000 r. Zrzesza osiem Kościołów ewangelikalnych i kilkanaście organizacji parakościelnych.

E. Cz.



■ II Ekumeniczne Święto Biblii

Impreza ta organizowana jest z inicjatywy Poznańskiej Grupy Ekumenicznej, która choć stanowi ciało nieformalne, działa już kilka lat i cieszy się uznaniem wielu osób i instytucji. Celem Święta jest upowszechnianie czytelnictwa Pisma Świętego.

Właściwe obchody Święta Biblii (14 i 15 listopada) poprzedził konkurs lektorów, w czasie którego kilka pieśni wykonał zespół muzyczny z Kościoła Zielonoświątkowego. 8 listopada w pięknej auli Lubrańskiego na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza spotkali się lektorzy z Kościołów: Rzymskokatolickiego, Polskokatolickiego, Ewangelicko-Augsburskiego, Ewangelicko-Metodystycznego i Zielonoświątkowego. Uczestnicy konkursu losowali teksty Listów Pawłowych i po kilku minutach na przygotowanie musieli odczytać tekst i wygłosić jego kilkudziesięciopodsumowanie. Nagrody pieniężne zostały przekazane poszczególnym parafiom na rzecz propagowania czytelnictwa Biblii. Tydzień później, w czasie uroczystego nabożeństwa w archikatedrze poznańskiej, wszyscy uczestnicy otrzymali pamiątkowy egzemplarz Nowego Testamentu i Psalmów ze stosowną dedykacją i gratulacjami.

14 listopada u ojców franciszkanów, popularna piosenka Eleni dała koncert charytatywny. Dochód został przekazany Fundacji „Pro vita”, która niesie pomoc matkom samotnie wychowującym dzieci.

Nazajutrz odbyła się sesja naukowa. Referat odczytał przez duchownego metodystycznego, ks. Jana Ostyryka (w zastępstwie autora, ks. Wawrzyńca Markowskiego) dostarczył wielu cennych informacji o życiu Marcina Lutra i Jana Wesleya, a zwłaszcza o znaczeniu Pisma Świętego w pobożności i działalności obu Reformatorów. Szczególne zainteresowanie wzbudził wszakże referat ks. prof. Stanisława Haręzgi z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego („Lectio divina” szkołą słuchania i posłuszeństwa Słowu Bożemu), podkreślający potrzebę uważnego czytania, rozmyślenia, modlitwy i przyjmowania Słowa Bożego, a także roli Ducha Świętego w obcowaniu z Pismem Świętym. W dyskusji przewijał się w jeden zasadniczy wątek – znaczenie indywidualnego i grupowego studiowania Biblii. Po sesji prezydent Poznania Ryszard Grobelny podjął obiadem przedstawicieli Poznańskiej Grupy Ekumenicznej oraz gości i wykładowców.

Popołudniowe nabożeństwo Słowa w bazylice archikatedralnej zgromadziło licznych uczestników. Homilie wygłosili bp Janusz Jagucki (Kościół Ewangelicko-Augsburski) i abp Stanisław Gądecki, którzy udzieliли Świętu honorowego patronatu. Zarówno homilie, jak czytane fragmenty Słowa Bożego i zanoszone modlitwy były wołaniem o zapanowanie pokoju.

Już od października radio „Emaus” nadawało co sobotę półgodzinne audycje przygotowujące poznaniaków do udziału w Święcie Biblii oraz propagujące wiedzę o chrześcijanach różnych wyznań. Pastor poznańskiego zboru zielonoświątkowego, prezb. Piotr Wiśłka, przedstawił historię ruchu zielonoświątkowego na świecie i w Polsce oraz miejscowy zbor i jego działalność. Audycja, wyemitowana 18 października, ilustrowana była utworami muzycznymi i pieśniami charakterystycznymi dla naszej duchowości. (pw)

■ Chrzest w Słupsku

W niedzielę, 9 listopada w słupskim zborze dziewięć osób zawarło przyrzeczenie z Panem przez chrzest wiary. Chrztu udzielał pastor Zboru, prezb. Jacek Heidenreich.

Część katechumenów to młode osoby, których rodziny od pokoleń służą Panu w Kościele. Jeden z ochrzczonych, 16-letni Filip tuż przed chrztem wyznał, że zdecydował się na jego przyjęcie, ponieważ nie chce już dłużej czekać. Drugą grupę nowo ochrzczonych stanowią osoby, które trafiły do Zboru w wyniku ostatnich działań ewangelizacyjnych. W dużej mierze przyczyniło się do tego funkcjonowanie nowej placówki, mieszczącej się w Młodzieżowym Centrum Kultury na słupskim osiedlu Zatorze. Także strona internetowa (www.kzslupsk.jezus.pl) okazała się owocnym narzędziem ewangelizacyjnym – dzięki niej do Zboru trafił jeden z ochrzczonych właśnie braci.

Katechumeni przygotowywali się do chrztu, biorąc udział w cyklu wykładów na temat prawd wiary oraz zasad obowiązujących w Kościele Zielonoświątkowym. Większość zadeklarowała chęć dalszej nauki w działającej od roku przyzbrowej Biblijnej Szkole Uczniostwa.

Bóg od kilku lat systematycznie przydaje do naszej społeczności osoby z różnych środowisk, które przyjmując zbawienie, chcą aktywnie pracować dla Boga. W 2002 r. ochrzczonych zostało około 30 osób, z których większość czynnie uczestniczy w życiu Kościoła, a także świadczy o wspianym Bożym działaniu w swoich domach, szkołach i zakładach pracy. Ufam, że również nowo ochrzczeni włączą się w dzieło ewangelizacji naszego miasta. Pracy na pewno nie zabraknie, bo – zgodnie z naszą wizją – na początku bieżącego roku chcemy otworzyć w Słupsku kolejną, drugą z planowanych czterech placówek Zboru.

Paweł Zgórski

■ „Powołanie i pasja” po raz drugi

W dniach 4-6 września w łodzi odbyła się II Ogólnopolska Konferencja Pracowników Chrześcijańskich wśród Ludzi Uzależnionych „Powołanie i pasja”. Konferencja została zorganizowana przez Misję wśród Uzależnionych od Alkoholu „Nowa Nadzieja”, z siedzibą w łodzi. Zaproszenie do uczestnictwa przyjęli też działacze wielu chrześcijańskich organizacji pozarządowych w Polsce: Misji wśród Uzależnionych od Narkotyków „Teen Challenge” (Broczyna k. Słupska), Akcji Humanitarnej „Życie” (Cieszyn), Misji Więziennej Kościoła Zielonoświątkowego (Poznań), Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Dobroczynnego (Klucze k. Olkusza), Fundacji „Głos Ewangelii” (Warszawa), Stowarzyszenia Pomocy „Arka Noego” (Ostrów Wlkp.), Chrześcijańskiego Stowarzyszenia „Jerozolima” (Racibórz), Stowarzyszenia Dobroczynnego „Betlejem” (Kraków), Śląskiej Fundacji ETOH „Błękitny Krzyż” (Bielsko-Biała), Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Pomocy Resocjalizacyjnej „Fileo” (Cieszyn). Gościliśmy także mówców z naszych bratnich organizacji: Fundacji „Teen Challenge” w USA i Fundacji „Safety Shelter” w Norwegii.

Konferencja była okazją do wymiany doświadczeń oraz dyskusji na temat rozwoju współpracy między chrześcijańskimi organizacjami charytatywnymi. Przedstawiciele poszczególnych organizacji prezentowali różnorodne kierunki i metody pracy z ludźmi uzależnionymi od narkotyków, alkoholu oraz z ich rodzinami, a także z osobami bezdomnymi i niepełnosprawnymi.

Na zakończenie trzydniowych obrad uczestnicy zobowiązali liderów reprezentowanych w łodzi ogólnopolskich i lokalnych misji, stowarzyszeń oraz fundacji do utworzenia porozumienia chrześcijańskich organizacji pozarządowych. Misja „Nowa Nadzieja” – jako organizator konferencji – zobowiązała się do przygotowania formalno-prawnych podstaw zawarcia takiego porozumienia, do opracowania informatora o chrześcijańskich organizacjach pozarządowych, które zajmują się przeciwdziałaniem uzależnieniom i bezdomności, a także do pełnienia roli koordynatora między organizacjami reprezentowanymi na konferencji.

Piotr Karaś

Złote gody w Koszalinie

21 września 2003 r. w zborze „Betel” w Koszalinie odbyło się uroczyste nabożeństwo, w trakcie którego dziękowano Bogu przede wszystkim za piękny jubileusz – złote gody – braterstwa Marii i Jana Rudkowskich.

Oboje Pastorstwo pochodzą z Ziemi Chełmskiej, ale właśnie w Koszalinie 13 września 1953 r. wstąpili w związek małżeński i natychmiast włączyli się w pracę miejscowego zboru, który był wówczas małą społecznością bez stałego miejsca zgromadzeń, wspólnotą wciąż poszukującą stabilnego przywództwa. Brat Jan w latach 1953-1958 służył zborowi jako zastępca pastora, a potem przez przeszło 30 lat jako pastor. W 1967 r. został ordynowany na prezbitera przez jednego z przywódców ruchu zielonoświątkowego, prezb. Sergiusza Waszkiewicza, któremu asystowali prezb. prezb. Teodor Maksymowicz, Aleksander Mańkowski i Stanisław Krakiewicz. Po zakończeniu swej misji pastorskiej w Koszalinie, służył jeszcze zborowi w Świdwinie i przyczynił się do uzyskania przezeń obecnie posiadanego obiektu, adaptowanego na cele sakralne.

Pastorstwo Maria i Jan Rudkowsky zaangażowani byli także w pracę ogólnokościelną. Prezbyter Jan był przez kilka kadencji członkiem Rady Kościoła, a miejscowy zbor wielokrotnie podejmował się roli gospodarza okręgowych i ogólnopolskich konferencji. Tutaj odbywały się zajęcia Okręgowej Szkoły Biblijnej, a także kilkakrotnie ogólnopolskie letnie obozy młodzieżowe. Mieszkanie pastorskie było zawsze otwarte dla gości, a pastorkowa Maria wraz z innymi siostrami wzorowo prowadziła stołówkę, gdy na przykład trzeba było przez dwa tygodnie wyżywić około sześćdziesięcioosobowe grono młodzieży.

Małżonkowie Maria i Jan swoją służbą wpisali się w duchowe biografie wielu ludzi. Nie zaniedbywali przy tym swych obowiązków rodzinnych i dzisiaj mają satysfakcję, iż mogą służyć Bogu wraz z całą rodziną, choć obaj synowie wraz ze swymi najbliższymi mieszkają w Stanach Zjednoczonych.

Obecnie zbor „Betel” to duża i stabilna społeczność. Jest współwłaścicielem wolnostojącego obiektu sakralnego w centrum miasta. Ile kosztowało to zabiegów i pokonywania różnorodnych trudności, przekonują dzisiaj archiwalne już dokumenty. Adaptacje i remonty były w centrum uwagi pastora, który do chwili przejścia na rentę pracował również jako mistrz budowlany.

Uroczyste nabożeństwo, które zgromadziło także przedstawicieli innych społeczności ewangelikalnych, prowadził prezb. Marek Kamiński, pastor. Były życzenia, kwiaty, okolicznościowe utwory (śpiewał m.in. Daniel Wojsa z TGD). Kazanie wygłosił prezb. Dawid Kulnicz, prezbyter okręgowy Okręgu Zachodnio-Wielkopolskiego, a uroczyste dziękczynienie za półwiecze pożycia małżeńskiego prowadził i modlitwą usłużył bp Mieczysław Czajko, zwierzchnik Kościoła.

Wszyscy uczestnicy uroczystości zostali zaproszeni na agapę przygotowaną przez zbor pod kierownictwem s. Jolanty Nienier, wnuczki nieżyjącego już pastora Mariana Kuriana z Krępska, pochodzącego z Nowogródzyny.

bp Mieczysław Czajko



*Błogosław, duszo moja, Panu,
i wszystko, co we mnie, imieniu
jego świętemu! Błogosław,
duszo moja, Panu, i nie
zapominaj wszystkich dobrodziejstw
jego! On odpuszcza
wszystkie winy twoje, leczy
wszystkie choroby twoje. On
ratuje od zguby życie twoje;
On wieńczy cię łaską i litością.
On nasycy dobrem życie
twoje, tak iż odnawia się jak
u orła młodość twoja.*

Ps 103,1-5

*Słuchajcie mnie, domu Jakuba
i cała resztko domu Izraela,
których noszę od urodzenia,
których piastuję od poczęcia!
Pozostanę ten sam aż do
wszej starości i aż do lat sędzi-
wych będę was nosił; Ja to
uczynilem i Ja będę nosił, i Ja
będę dźwigał i ratował.*

Iz 46,3-4



SIENNA GOSPEL CHOIR

„Śpiewajcie Panu pieśń nową, na chwałę jego w zgromadzeniu wiernych! Niech weseli się Izrael ze Stwórcy swego!”

Ps 149,1-2

Chór Sienna Gospel Choir powstał w warszawskim zborze Kościoła Zielonoświątkowego na ul. Siennej (i stąd wzięła się nazwa chóru), gdzie w maju 2002 r. odbył się jego pierwszy koncert. Miał to być tylko jeden występ okolicznościowy, lecz w sercach wielu młodych i nieco starszych śpiewaków zrodziło się pragnienie dalszych spotkań.

Chórem kieruje Anna Bajak ze zboru przy ul. Siennej, która jest nauczycielką emisji głosu w szkole wokalne im. J. Wasowskiego w Warszawie, kompozytorką muzyki do spektakli dziecięcych i młodzieżowych oraz kierownikiem artystycznym nagrań płytowych. Dyrygentka pragnie stworzyć warunki, aby spełniły się muzyczne marzenia wszystkich, którzy chcą śpiewać dla Boga. Chór jest więc otwarty dla tych, którzy szukają wsparcia w codziennych problemach, pragną się rozwijać muzycznie, a także wzrastać duchowo.

Sienna Gospel Choir tworzy czterdzieścioro chórzystów oraz muzycy w składzie: Robert Osam – klawisz, Tomasz Sosulski – gitara basowa, i Konrad Bartnik – perkusja.

Chór występuje podczas nabożeństw w stołecznym zborze i po każdym koncercie spotyka się z pozytywną recenzją – zaproszeniem do kolejnych występów. Chcąc podnosić swoje umiejętności wokalne, jego członkowie biorą udział w warsztatach muzycznych organi-

zowanych przez dyrygentkę oraz Stowarzyszenie Chórów Gospel.

Największym sukcesem Sienna Gospel Choir jest zdobycie jednej z trzech głównych nagród na V Ogólnopolskim Festiwalu Muzyki Chrześcijańskiej w Kwidzynie, latem 2003 r., oraz zaproszenie na kolejny, VI festiwal w charakterze gościa specjalnego.

Mamy mnóstwo pomysłów i chęci do pracy. Łączy nas spontaniczność, radość ze śpiewania pieśni w stylu gospel i miłość do Boga.

Dorota Sosulska, menedżer chóru
kontakt z chórem: tel. kom. 601-825-353;
psalm@webmedia.pl

Oto, co mówią chórzyci Sienna Gospel Choir:

■ Wspaniałą rzeczą jest, gdy nasze pasje jednocześnie przybliżają nas do Boga i dają możliwość opowiadania o Nim innym ludziom. To daje wielką satysfakcję i poczucie spełnienia.

Alicja Ferens

■ Kocham niepowtarzalną atmosferę, jaka panuje na próbach z SGC – atmosferę, którą tworzymy razem przez proklamowanie naszego Boga w pieśniach, wstawienniczą modlitwę, ale również przez dziecięcą czasem radość z dobrze zaśpiewanej kwestii. Kocham atmosferę, której ton nadaje zaradliwy entuzjazm, zapal i cierpliwość naszej dyrygentki, pomysły i troska naszej menedżer i oczywiście sami chórzyci, których to bardzo, bardzo, bardzo lubię.

Anna Zabłocka

■ Lubię śpiewać w chorze. Człowiek wierzący potrzebuje wyciszenia w indywidualnej modlitwie, zbliżenia do Boga w samodzielnym studiowaniu Jego Słowa. Ale to nie wszystko, to za mało! Potrzebuje też wspólnoty z innymi wierzącymi: wymiany myśli i doświadczeń, wspólnej modlitwy i uwielbiania Boga śpiewem, możliwości dawania bliźnim tego, co ma najlepszego, uczenia się, by stawiać innych i ich potrzeby ponad sobą. To wszystko mogę znaleźć w Kościele, ale także w chorze. Jakaż to ogromna frajda móc robić to, co się lubi – śpiewać – z grupą ludzi, których lubię i dla których także jest to pasją. I do tego robić to nie tylko dla siebie, ale dla Boga i dla innych. Długo na to czekałam i w końcu Bóg odpowiedział na moje modlitwy i pragnienie serca – właśnie poprzez Sienna Gospel Choir. Trzeba mieć marzenia!

Anna Pachalko

Wrażenia z Festiwalu w Kwidzynie:

■ Dla mnie wyjazd na festiwal był niesamowitym błogosławieństwem. Był to fantastyczny czas uwielbiania naszego Pana, a także poznania siebie nawzajem.

Magda Czajko

■ Występ po niedzielnej mszy był najbardziej autentycznym uwielbianiem Boga razem z przybyłymi do kościoła ludźmi. Szkoła pokory i szczerości przed Bogiem. Budująca atmosfera wspólnej pracy.

Jagoda i Piotr Jokielowie